W numerze rozstrzygnięcie konkursu: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?“ Cena 8 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III Łódź, 15 grudnia 1946 r. Nr 49 (77)

Bartłomiej Bigorajski

Artykuł dyskusyjny

Czy kryzys uniwersytetów ludowych w Polsce? (II) *)

NIEWYPRACOWANIE METOD WYCHOWANIA SPOŁECZNO - GOSPODARCZEGO

Działalność uniwersytetów ludowych w Danii zbiegła się z nurtem ówczesnych prądów ideowo - kulturalnych i równocześnie z nowym ruchem gospodarczym, który zapoczątkowali tkacze roczdelscy — spółdzielczością.

U. l., spółdzielczość, postępowy ruch umysłowy — oto przyczyny nowoczesności i dobrobytu Danii.

W programie u. l. w Gaci — na 48 godzin wykładów, 3 godziny w tygodniu poświęcono zagadnieniom gospodarczym.

Życie gospodarcze w u. l. przed wojną w Polsce w praktyce ograniczało się do potrzeb internatu, konsumcji, minimum egzystencji. Praktyczne prace wychowawcze w wychowaniu gospodarczym poza teoretyzowaniem nie odbiegały dalej od zwykłych „robótek“ w szkołach powszechnych.

Przedwojenna myśl pedagogiczna w wychowaniu gospodarczym społeczeństwa nie stworzyła żadnych realnych metod. Taki stan istnieje dzisiaj w wielu u. l. Zakres praktycznego wychowania gospodarczego nie jest większy ani szerszy niż zakres potrzeb, których wymaga uprawa grządek pod rzodkiewkę.

W twórczym akcie reformy rolnej, przeznaczeniu ośrodków dworskich na u. l. nie przewidziano istotnych gospodarczych potrzeb tych placówek, które zamiast służyć przykładem właściwego zagospodarowania resztówek, wikłają się w trudnościach gospodarczych, celem ich zabezpieczenia. Ogrom sum potrzebnych na koszty inwestycyjne zabezpieczenia obiektów często zdewastowanych nie mieści się w głowach urzędników Min. Rolnictwa, czy Min. Oświaty. Nieuregulowana strona prawna działów ziemi uniemożliwia rozpoczęcie właściwych prac gospodarczych i właściwych metod myślenia i wychowania gospodarczego.

Pracownicy fizyczni w gospodarstwach u. l. — to najniższa kategoria pariasów, obdartusów, odżywianych i wynagradzanych nędznie.

W ogóle wychowanie gospodarcze praktyczne i teoretyczne w u. l. stoi poza nawiasem życia ustrojowo - państwowego, spółdzielczego i prywatnego.

DUCH OPOZYCYJNOSCI

Jedną z głównych przyczyn kryzysu u. l. jest atmosfera opozycyjności. Ideały indywidualnej demokracji stanowią wspaniałe pole działania dla opozycji. Opozycyjność w stosunku do rzeczywistości na u. l. duńskich i w Polsce była jednym ze środków oddziaływania.

Gacka Górka wyrosła naprzekór ludziom i czasom. Jednak opozycyjność była niezwykle wygodną, skuteczną i łatwą metodą oddziaływania.

Przemiany społeczne, gospodarcze, polityczne w duchu realizacji celów u. l. wytrąciły pedagogom z rąk ważny środek ekspresji — młot — który łamał.

Pozostało gorące żelazo i kowadło. — I jest problem bardzo poważny, czy gorące żelazo kształtować dalej w realny kształt rzeczy, czy wrzucić do wody? — Wiemy z doświadczenia, że żelazo w wodzie szybko stygnie, wywołując gwałtowny wybuch pary.

ZABRAKŁO SOLARZA

Niewątpliwym staje się również fakt, że lament, który słyszymy, że zabrakło Solarza... zabrakło chrzestnego, dowodzi kryzysu, jaki przeżywają krzewiciele i ideologowie u. l. Grundtvigowskich na gruncie polskim, oraz grupa współtwórców i współpracowników tej nieprzeciętnej postaci i przedstawiciela młodej, demokratycznej myśli ludowej.

Dzisiejsi spadkobiercy — Wiciarze — doświadczeń i ideałów Solarza nie rozwijają szerzej. Stwarza to wrażenie, iż płacz z powodu braku Solarza wydostaje się z ciemnego zaułka, w którym znajdują się czołowi transpozytorzy u. l. Grundtvigowskich w Polsce.

FIKCJA POWSZECHNOSCI U. L.

Zagadnienie powszechności u. l. w Polsce będzie w sferach fikcji dotąd, dopóki nie wypracujemy programu i metod, nie tylko dla duszy, ale i dla ciała.

Program na miarę wielkich zadań codzienności. Zanim przystąpię do omówienia nowoczesnego programu u. l. w Polsce, przytoczę słowa wielkiego rewolucjonisty duńskiego Jerzego Brandesa, które wygłosił na uniwersytecie kopenhaskim w r. 1891 (na rok przed śmiercią Grundtwiga) — te oto słowa:

„Głównym zadaniem będzie sprowadzić prądy, mające swe źródło w rewolucji i ideałach postępu, tu do kraju i uniemożliwić reakcji dobre działanie we wszystkich tych punktach, gdzie jej zadanie historyczne jest zakończone“.

ZADANIA I CELE.

1) Celem współczesnego u. l. jest: wychować zdrową, rozumną, postępową grupę społeczną chłopów, współgospodarującą państwem z grupami robotniczymi i inteligencją pracującą;

2) utrwalić zdobycze ludu w dobie rewolucyjnych przemian i ugruntować zasady demokratycznej Polski Ludowej w powszechnym zastosowaniu i działalności przez podniesienie mas ludowych do właściwego poziomu w zakresie oświaty i wiedzy w twórczym wysiłku pracy w czasie możliwie najszybszym;

3) wypracować treść racjonalnego humanitaryzmu i realizmu w życiu i kulturze w oparciu o istotne wartości kultury ludowej i narodowej;

4) czynny udział w planowaniu państwowym, gospodarczym, w praktycznym wiązaniu inicjatywy jednostkowej z inicjatywą społeczną i państwową;

5) zbudować zasady moralności w życiu prywatnym i zbiorowym, w rzetelnym stosunku do pracy i zdolności gromadnego współdziałania;

6) wyzwolić w pełni masy ludowe, unowocześnić wieś;

7) realizować ideę postępu w nowej epoce wielkiego ruchu ludów słowiańskich.

METODY.

Dla wychowania aktywnej, twórczej grupy społecznej, gromady, zespołu — jedynie właściwą jest metoda socjologiczna lub socjologiczno - historyczna.

Rzeczywistość stanowi płaszczyznę działania.

Tworzenie źródeł i podstaw myślenia gospodarczego w oddziaływaniu i współpracowaniu ze środowiskiem, wiązanie jednostek gospodarczych. indywidualnych warsztatów w grupy w myśl ogólnych zasad działania i planowania gospodarczego — stanowi właściwe metody wychowania gospodarczego w u. l. Formy Grundtwigiańskie w pracy pedagogicznej, jak żywe słowo, współżycie, harmonizowanie zbiorowego działania, żywy udział w życiu kulturalnym i społecznym i gospodarczym są niezastąpionymi, wypróbowanymi formami u. l.

W pracy pedagogicznej winien u. l. w krótkim czasie zapewnić słuchaczom podstawowe minimum wiedzy i współdziałać w wypracowywaniu właściwych i konkretnych metod samokształcenia dla tych, którzy pracując zawodowo nie mogą uzupełnić, pogłębić, czy rozszerzyć zainteresowań umysłowych gdzie indziej. U. l. współczesny winien realizować metody wychowania politycznego.

PROGRAM NOWOCZESNEGO U. L.

U podstaw programu w nowoczesnym u. l. nie jest człowiek. lecz ludzie, grupa społeczna.

Program nie powinien być sztywny, winien wiązać się z życiem społecznym środowiska. Główny cel u. l. i jego program wychowania aktywnej, czynnej grupy społecznej chłopów — organizatorów życia społecznego, działającej w wielkiej machinie państwowego. demokratycznego ustroju. Rolą organizatorów byłoby usprawnianie życia organizacji społecznych na wsi.

Program winien obejmować podstawowe dziedziny wiedzy i kultury, współczesne zagadnienia społeczno-kulturalne, gospodarcze, ustrojowe i polityczne. Ideały demokratycznej Polski Ludowej.

Historia nie może być zasadniczym i głównym przedmiotem nauczania w nowoczesnym u. l. Nie należy jednak pominąć najgłówniejszych momentów dziejów i kierunków rozwojowych społeczeństw, wielkich wspólnot ludowych i narodowych. Historia Polski winna być wykładana zgodnie z prawdą historyczną, w oparciu o metodę badań socjologiczną lub socjologiczno - historyczną.

Należy wprowadzić historię klasy robotniczej i historię chłopów.

Wykłady o piśmiennictwie winny łączyć się z historią kultury i z piśmiennictwem ludowym i proletariackim.

Nauki przyrodnicze, które były głównym przedmiotem nauczania w u. l. w Polsce, w nowoczesnym programie nie mogą być traktowane jako zasadniczy trzon wychowania. Nadać im należy kierunek wychowawczy i zarazem utylitarny. Potrzebną byłaby demonstracja nowoczesnych zdobyczy cywilizacyjnych w formie modelów czy wyświetlań przezroczy.

W dobie ujarzmiania zjawisk przyrody przez człowieka i podporządkowania ich człowiekowi, wpływ przyrody na życie ludzkie jest wyłącznie estetyczny

Zamiast podglądania życia mrówek i pszczół i snucia nierealnych porównań społecznych, słuchacze wyniosą większe praktyczne korzyści podpatrując tajemnice przyrody przez mikroskop.

Program winien ogarniać główne kierunki ustrojowe, ekonomiczne, społeczne lat współczesnych, jak: liberalizm, kapitalizm, socjalizm, demokrację indywidualną i planową spółdzielczość itp.

Jednym z głównych zadań programu — tworzenie źródeł i ognisk myślenia gospodarczego, wytypowania realizacji porządku gospodarczego w Polsce. Będzie to się wiązało z własną gospodarką wewnętrzną u. l., która musi być uspołeczniona.

Musimy wyrugować przestarzały system gospodarstw indywidualnych, gdzie głowa rodziny jest najwyższym autorytetem.

Słuchacze, kierownictwo, pracownicy fizyczni winni tworzyć wspólny zespół gospodarczego działania.

Atmosferę rodzinną w u. l. zastąpimy atmosferą pracy w zrozumieniu osiągania jak najwyższych wyników. W tym leży sedno wychowania społecznego, gospodarczego, jak również i w tym, że u. l. muszą być oparte na współdziałaniu z dobrowolną organizacją gospod. Z. S. Chł. i dobrowolną organizacją ideowo - pedagogiczną. współdziałającą z wyżej wymienioną organizacją gospodarczą.

Jestem zwolennikiem wychowania politycznego w myśl zasad jedności mas ludowych, jedności leżącej głęboko po linii interesów warstw ludowych, kiedy zakończyła się rola historyczna klas posiadających.

Program w narodowym u. l. winien zapewnić minimum wiedzy i umiejętności do działania i życia.

Krzewić wielkie cnoty charakteru, moralności w zbiorowym gromadnym współdziałaniu.

Teatr, zebrania, dyskusje, praca samokształceniowa, praca wewnętrzna, organizacja samorządu — radio, kino, wycieczki, dopełniać winny całości programu.

Koleżeńskość, zażyłość, współpraca ze środowiskiem chłopskim i robotniczym i inteligencją, pisarzami, literatami, malarzami, artystami i codziennymi przodownikami szarego życia winny wpływać na pogłębianie i poszerzanie umysłu, serca, ducha w gromadnych wysiłkach prac nowoczesnego u. l.

Nowoczesny u. l. to żywy, radosny, twórczy ośrodek oddziaływania salą teatru, kultury, z praktycznymi osiągnięciami kulturalnymi i gospodarczymi mas ludowych.

Nowoczesny u. l. to źródło postępu na wielkiej drodze ruchów ludowych i ich pełnego wyzwolenia.

WYCHOWAWCY

Jak zaznaczyłem, u. l. winien opierać się na niezastąpionych formach pracy u. l. Grundtvigowskich, nie może tylko ograniczyć się do zaschłych kanonów, ani do nauczania kompletów gimnazjalnych, dlatego ważną jest rola wychowawcza programu i od nich zależy bardzo dużo.

Wychowawcy winni posiadać wysokie zalety umysłu, charakteru, wyrobienia społecznego w nowoczesnym u. l.

*) Patrz „Wieś“ nr 48 (76).

Andrzej Skupień-Florek

BIAŁY DUNAJEC

jego początek, prawa i przywileje dlań królewskie – część II.

Prawo konstytucyjne wymagało, żeby „wybrańcem" został kmieć dobry, sposobny i serdeczny, który sam osobiście musiał odbyć wyprawę. Nie wolno było od niej zwolnić rotmistrzowi nikogo z wybranych pod grozą śmierci. Dopiero w roku 1624 pozwala prawo brać od „wybrańców" wykup i nająć żołnierza. Prawa tego Jędrzej Pawlik nie doczekał, a udział w wyprawach brał sam osobiście jako dobry, sposobny i serdeczny chłop. Takim był z krwi i kości ten Jędrzej, takimi byli jego następcy, a zwłaszcza syn Michał, na którego po śmierci ojca przeszło całe i ze wszystkimi prawami sołectwo białodunajeckie, a tym samym wybraniectwo. Tenże syn Michał w roku 1633 dnia 20 lipca w grodzie sądeckim „oblatuje" czyli zatwierdza przywilej lokacyjny czyli dokument na początku w całości przytoczony, jaki starosta Pieniążek dał jego ojcu Jędrzejowi powierzając mu prawo osadzania wsi Biały Dunajec. Przez „oblatę" przywileju uczyniono drugi tej samej treści dokument, którego odpis jest, a raczej był przechowany w Archiwum Krajowym w Krakowie pod sygnaturą: Castr. Sant. t. 119, p. 1005 (1633 r.); zaś oryginał tego przywileju pozostał nadal przy Michale Pawliku.

Początkowo sołtys Michał jako „wybraniec" spełniał osobiście ten obowiązek, a potem wykonywuje go przez swojego syna Adama, co oznacza, że za ojca na wyprawę wojenną szedł syn Adam. W jednej z takich wypraw zwanej wołoską, podjętej przeciwko cesarzowi tureckiemu, walczył pod wodzą Stanisława Lubomirskiego syn Michała Adam Pawlik. W boju okazał „wielkie męstwo i czyn wojenny", za co został przed królem pochwalony i wyróżniony. Michał Pawlik nie dopiastował swojego przywileju sołtysiego do końca życia, lecz za pozwoleniem króla Władysława IV zdał go swojemu synowi Adamowi, który odnośnie tej sprawy otrzymał od króla dokument pisany po łacinie, który w tłomaczeniu na polski brzmi następująco:

1633, 21 marca, Kraków.

„My Władysław IV......... czynimy wiadomym, że dozwalamy Michałowi Pawlikowi na to, ażeby mógł i zdołał zrzec się swojego prawa jakie mu przysługuje w sołectwie, w naszej wiosce Biały Dunajec, z jednego łanu i przelać je wraz ze wszystkimi rolami, łąkami, polami, pastwiskami, znanymi pod nazwą góry wolne, szałas Wyżne i Jaworzyna, wraz z lasami, stawami i młynem, na osobę uczciwego Adama Pawlika swojego syna, o którego czynie wojennym w wyprawie wołoskiej, podjętej przeciwko cesarzowi tureckiemu, pod znakami Jaśnie Wielmożnego Stanisława Lubomirskiego, wojewody ziem ruskich, a ziemi sandomierskiej i innych starosty, nam dokładnie z największym uznaniem opowiedziano..."

(Odpis znajdował się wpisany w księgi krajowego Archiwum w Krakowie pod sygnaturą następujących znaków: Castr. Sant. t. 119, p. 1008).

Po 36 latach posiadania sołectwa przez tego Adama, przechodzi ono na jego synów Adama i Stanisława. Obszar przynależności sołectwa Białodunajeckiego powiększa się o Ciche, co wynika z dokumentu dosłownej treści:

1669, 9 listopada, Kraków.

„Michał Król daje przywilej Adamowi i Stanisławowi braciom Pawlikom, wymieniając sołtystwo ze wszystkimi przynależnościami, górami i szałasem Wyżnym, Jaworzyną, Cichem i porównie do tego sołtystwa nie wymieniając żadnej wyprawy". Powyższa notatka znajduje się w księgach Archiwum Krajowego w Krakowie pod znakami:

Div. t. 66, p. 181.

Z powyższego dokumentu wynika, że król Michał Korybut-Wiśniowiecki dał przywilej, mocą którego „Ciche" staje się prawną własnością sołectwa białodunajeckiego narówni z innymi przynależnościami dotychczasowymi i to bez jakichkolwiek dodatkowych danin. Zaś w siedem lat później teren halnych posiadłości białodunajeckiego sołectwa powiększa się o dalsze lasy i hale, a mianowicie o Poronice, Zgorzeliska i inne jeszcze góry leżące wzdłuż potoku zwanego „Poroninem". W roku bowiem 1676, w dniu 19 lutego, w Krakowie, na sejmie koronacyjnym Król Jan III Sobieski daje przywilej Adamowi i Stanisławowi braciom Pawlikom, czego dowodzi dokument pisany łaciną, a w którym po przetłumaczeniu czytamy między innymi:

1676, 19 lutego, Kraków na sejmie koronacyjnym:

„...hale Jaworzynę, Ciche, Poronin, Zgorzeliska, jako też góry leżące wzdłuż potoku Poronin i wzgórze zwane szałas Wyżne wraz z zaprowadzonymi tam uprawnymi zagrodami, dalej wolne pędzenie piwa, szynkowanie tegoż w propinacjach, czyli miejscach wymienionych w oryginalnych przywilejach, przywilej na wolne wycinanie drzew i przygotowania sągów do palenia w kuchni i ogrzewania budynków, wreszcie prawo do rybołóstwa w rzece Dunajcu i polowania w Górach Tatrzańskich..."

(Księgi Archiwum Krajowego w Krakowie, sygnatury i znaki:

Rel. Crac. t. 102, p. 1090 r. 1676).

Należy rozumieć, że nazwa Poronin, która jest dwa razy wymieniona w treści powyższego dokumentu nie odnosi się do dzisiejszej wsi Poroninem zwanej, lecz do tatrzańskich hal, które obecnie nazywają się „Porońcem" i do potoku, który obecnie nazywają: jedni „potok Poroniec", drudzy „Cichą wodą", a inni jeszcze „Suchą wodą". Co do wyrazu „Ciche", to z całą pewnością w obu powyższych dokumentach jest mowa o miejscowości, która dzisiaj już jest wioską liczącą zgórą 60 gospodarstw zwaną (w przeciwieństwie do starszej i dużej wsi Ciche osadzonej w 1595 r. przez Tomasza Miętusa) Małe Ciche. Z powyższych dokumentów widzimy, że to dzisiejsze Małe Ciche jest już od 277 lat własnością białodunajecką najpierw sołectwa, a potem jako całość wchodzącą w skład gminy Biały Dunajec. (Pierwotnie Ciche było polaną, gdzie Pawlikowie z innymi poddanymi swoimi wypasali swoje bydło, gdzie później po wykarczowaniu większej ilości lasu uczyniono uprawne zagrody. Potem jeden z potomków Pawlika, wówczas zwany już Pawlikowski tam się osiedlił, a następnie osadzili się tam i Żegliny.

Jeden z Żegliniów, Szymon, ożenił się z Reginą, córką Pawlika, która po swoim ojcu odziedziczyła połowę wybraniectwa. Dowodem tego, że Ciche było i jest białodunajeckie a nie bukowińskie (przed wojną toczył się spór pomiędzy zbiorowymi gminami Poroninem i Bukowiną o włączenie tej wsi do jednej z wymienionych gmin), są nazwiska jego dzisiejszych mieszkańców „Pawlikowscy", „Żeglinie"; Małe Ciche w obecnym roku uzyskało prawo samodzielnej gromady, a w sporze o włączenie, zwyciężyła sprawiedliwość, — jest włączone do gminy Poronin, gdzie należy i Biały Dunajec.

Przywileje, jakie ostatecznie Pawlikowie otrzymali, jako to „wolne pędzenie i szynkowanie piwa, wycinanie drzew i rąbanie sągów" są bardzo dużymi i ważnymi uprawnieniami przewyższającymi uprawnienia sołtysie, gdyż ci w tych samych czasach musieli opłacać wycinanie drzew, jako też musieli płacić tzw. „kwartał" za prawo propinacyjne tj. za warzenie i szynkowanie piwa.

Prawa te i przywileje tak sołtysów, jak i poddanych, coraz bardziej uszczuplano, obciążając ich powinnościami na rzecz starosty nowotarskiego, co najbardziej przybrało na sile za starosty Komorowskiego. Jednak nasi Pawlikowie trzymali się dzielnie i wzorowo. A że byli oni „wybrańcami", to też brali udział w różnych wyprawach wojennych przeciw nieprzyjaciołom Polski, przyczem okazali wiele męstwa i dlatego otrzymywali dalsze przywileje i nadania od królów. I tak, o nadaniu dalszych praw i przywilejów w górach dla białodunajeckiego sołectwa czytamy w odpisie oryginału, jaki jest odnotowany w księgach Archiwum Krajowego w Krakowie pod sygnaturą: Castr. Sand. t. 180, p. 1636" „½ zarębki Stołowskie, ¼ zarębki Furlakówka, ¼ zarębki Gilówka, ¼ zarębki Polenica, ½ zarębki Kulbasówka, ¼ zarębki Pajszczykówka, Świderówka, Błociska... Kopienice małe, polana Olczyska".

Zaś posiadanie powyższych miejscowości i ich używanie przez Białodunajczan stwierdza lustracja przeprowadzona w roku 1767 ze wzmianką, że w tymże czasie: „Biały Dunajec: ról kmiecych 24".

Wskutek prawa i dziedziczenia wybraniectwa przez wszystkie dzieci po śmierci ojca, doszło do tego, że na wybraniectwie białodunajeckim gospodarzyło ośmiu gazdów. A że od tego prawa nie były wykluczone i córki, to na jednej połowie siedział sam Szymon Żeglin, który miał za żonę córkę Pawlika Reginę, a na drugiej gnieździło się siedmiu Pawlików. Stan taki istniał w roku 1752. (Z powodu dziedziczenia wybraniectwa zauważono, że za dużo osób w ten sposób uchyla się od obowiązków robociźnianych i czynszowych względem starosty, gdyż za wiele osób mieszka na jednym łanie wybranieckim. Aby temu zapobiec uchwalono na sejmie, że najwięcej czterech gospodarzy być może na jednym łanie wybranieckim, co znaczy, że łan można było dzielić tylko na cztery części. Stąd powstały do dziś istniejące w niektórych okolicach „ćwiarcizny", tj. ćwiryłki" „półćwiertki" lub „ośminy". Gdy rodzina wybrańca była liczniej rozplemiona, to reszta musiała pełnić powinności wobec starosty. Jeżeli w rodzinie były spory o to, kto ma pozostać na wybraniectwie, to wysyłano komisję, która ustalała osoby, które mają pozostać. Osoby, które pozostały, powołane do dziedziczenia wybraniectwa, starały się o nadanie przywileju królewskiego. Ponowny taki przywilej na wybraniectwo w Białym Dunajcu daje król August II w dniu 24 listopada 1721 r., o czym mowa w księgach Archiwum Krajowego w Krakowie (sygnatura: Castr. Sant. t. 153, p. 1205). W roku 1756 Jan i Stanisław, bracia Pawlikowie, otrzymują od króla Augusta III taki przywilej wybraniecki z dodaniem słów: „...ale z ich potomkami przy spokojnej possessji i prawie wiecznym zachowujemy". Dopisek ten oznacza, że przywilej wybraniecki może przechodzić po wieczyste czasy na potomków przy spokojnym układzie dziedzicznym, kto pozostaje na wybraniectwie. Następnie sołtysi — wybrańcy z Białego Dunajca — Pawlikowie otrzymują przywilej szlachecki czyli zostają zaliczenia do szlachty, wskutek czego nazwisko ich ulega zmianie, a mianowicie: do nazwiska Pawlik, urzędowo dodaje się końcówkę „owski" tak, że z Pawlika staje się „Pawlikowski", co jest dowodem, że się jest szlachcicem. W czasie międzywojennym 1918 — 1939 takich szlachciców nazywano „szlachtą zagrodową".

Na zakończenie niniejszej historycznej wzmianki należy dodać, że założyciel naszej dzisiejszej gromady — Biały Dunajec, który przed 367 laty tu przybył i osiadł, ma do dziś swoich potomków a w ich żyłach płynie jego „wybraniecka" krew. Są to dzisiejsi Pawlikowscy tzw. „Wojciechy", mieszkający w Białym Dunajcu na roli tzw. „Sołtystwo", która to rola jest bezwątpienia tym samym „łanem rolej", na którym osiadł pierwszy sołtys-wybraniec, Jędrzej Pawlik. Dzisiejsze sołtystwo to miejsce, w którym powstały pierwsze biało-dunajeckie osiedla.

I młyn z jednym kołem mącznym, jaki z prawa i przywileju królewskiego tam na tej roli „łanowej" zaistniał, również ma swoje „potomstwo", które ulepszone techniką przewyższa swojego prapradziadka, któremu koła ta sama woda Dunajca, co i dziś obracała. Jest i wnuczka po „babci" od „propinacje ku szynkowaniu", ale ta jako opuszczona sierota stoi, bo szynkowania Pawlikowscy zaniechali. Ale inni prowadzą, tak, że spragniony zawsze napić się może.

Są liczni, bardzo liczni prawnuki i wnuki królewskich przywilejów — wypasu bydła na hali i poboru drzewa opałowego w Tatrach, jako prawni ich właściciele i takimi ohcą po wieczne czasy pozostać.

PRZYPISKI

Korzystano ze źródeł:

1) Treść dokumentów archiwalnych, dostęp do których ułatwił mi w r. 1932 w lipcu p. Dr Gabriel Leńczyk, członek Akad. Umiejętności w Krakowie.

3) „Dzieje i ustrój Podhala Nowotarskiego" prof. Józefa Rafacza. Całość była przygotowana do druku dla Gazety Podhala jeszcze przed wojną niemiecko-polską w lipcu 1939 roku.

Teksty łacińskie na język polski przełożył Ks. Wł. Magiera.

Adam Szczerbowski

MATKA I SYN

Chłopczyk igrał na łonie matczynem,
a dorósłszy w męża, zakwitł czynem.

Więc w świat poszedł bieżąc gościńcami,
a matula pozostali sami.

Syn się głośno klął duszy zbawieniem,
że powróci i z chwałą i z mieniem.

Ale matka przysięgła cichutko
czekać wiernie i długo i krótko.

Mówił syn: pójdę, sławę zdobędę,
wrócę tutaj i u stóp twych siędę.

Mać mówiła: wiem, że pójść ci trzeba,
tak być musi i tego chcą nieba.

I syn poszedł, a matka została,
że na smutek są łzy, więc płakała.

I czas mijał, pożerając lata,
jak ten pierścień, który wąż oplata.

Upłynęło lat krągłych bez miary
niby wina z czarodziejskiej czary.

Upłynęło lat wiele i więcej,
syn był wodzem przy łasce książęcej.

A matula zgarbiona latami
żyła łzami, modłami, prośbami...

Przyszły czasy huczące, ogromne,
syn zapomniał swoje: nie zapomnę.

I przyjść może ostatnia godzina,
ale matka nie zapomni syna.

I czas nadszedł na syna wesele.
i na matki śmiertelne pościele.

Dziś na zamku weselisko duże
dziś dziś dziś idą pary w mazurze.

A do chatki z zapadniętym progiem
wchodzi wolno proboszcz z Panem Bogiem.

Syn z kniaziówną wywija hołubce,
a matula kona w swej chałupce.

Gdy ksiądz matkę na wieczność sposobił,
książę syna wojewodą robił.

Krwawo błyszczał na sygnecie rubin,
znak synowskich z księżniczką zaślubin.

Perłą zaszła łza czysta, matczyna,
gdy konając wspominała syna...

I błysnęło — i zgasło — i tonie
w tej otchłani, która wszystko chłonie.

Przejdzie miłość, sława, panowanie,
lecz nie minie matki miłowanie.

Gasną światy w przestrzeni bezkresnej,
lecz trwa wiecznie ból Matki Bolesnej.

I znów przeszło lat wiele i więcej,
syn godności dostąpił książęcej.

Syn szablicą wyrębuje dzieje,
na mogile matki krzyż próchnieje.

Syn imieniem swym nazywa miasta,
macierzanką grób matki porasta.

Syn nad ziemi połowicą włada,
a grób matki w ziemię się zapada.

Aż się w górze dopełniły czasy,
czasy duże i twarde jak lasy,

Upłynęło znowu dni bez miary
niby wina z czarodziejskiej czary.

Przeminęło lat wiele — niewiele,
na synowskie śmiertelne pościele.

Ziemią zatrząść — było mu za mało,
aż mu ciało ziemią zachorzało.

Poznał siłę, co w nim zmogła siłę
i czuł w sobie rosnącą mogiłę.

Ale walki nie wyrzekł się jeszcze,
choć śmiertelne wstrząsały nim dreszcze

i konania oślepiony męką
szarpał giezło i darł pościel ręką.

Aż potężnym ugodzony ciosem
opadł w sobie i zgiął się przed losem.

Już mu ziemi nie było za mało,
już mu od niej odejść się zachciało.

Ale wtedy przyszła pokryjomu
myśl, że on tam nieznany nikomu.

Kto go przyjmie, kto stanie w obronie,
gdy go wieczna samotność pochłonie?!

Przeto zadrżał, choć nie drżał przed nikim
przed tym bożej wieczności bezlikiem.

Więc w konania ostatniej godzinie
wspomniał matkę, nim na wieczność minie.

Rzecze głosem zacichłym ogromnie:
wszak przysięgłaś nie zapomnieć o mnie.

Wszak przysięgłaś na głowę, na ręce,
że dziecięcia nie opuścisz w męce.

Więc tej chwili ostatniej bądź ze mną,
bo mi w duszy beznadziejnie ciemno.

Ledwo z ust mu wybieżało słowo,
zamroczyło się niebo połową

a na drugiej połowie zjawiona
ukazała się łuna czerwona.

Zgasły wszystkie światła u łożnicy,
tylko wątli się blask od gromnicy.

K'temu światłu, ku tej łoża bieli
po posadzce szlak jasny się ścieli.

A gdy doszedł, kędy łoże stało,
u wezgłowia staje marą białą.

Zbladła pani, zadrżeli dworzanie,
i szept słychać jak liści zadrganie.

Nad śmiertelną pościelą synowską
twarz się jawi pomarszczona troską.

Mówi głosem spłakanym, w żałobie.
Jestem, synu, więc wzywasz mię k'sobie?

Więc o matce pamiętasz, synaczku,
dzieciąteczko, Jasinku, robaczku!

A więc matkę chcesz ujrzeć serdeczną,
nim siedzibę opuścisz tuteczną!

Więc w dłonie daj dłoń i pójdź ze mną,
a nie będzie ci mogiła ciemną.

Bo-ć nauczę bujać po wieczności,
jak uczyłam chodzić w maleńkości...

Słysząc syn to zaśmiał się bezgłośnie,
szepnął: matko.. i umarł radośnie.

Kazimierz Sosnowski

BARTOSZOWE GNIAZDO

Łany i łany — jak zasięże oko!
I miło sercu i duszy szeroko,
Gdy wpław się puści po tej kłosów fali,
I żyznym światem płynie coraz dalej!
Więc witaj w Bogu ziemio urodzaju,
błogosławieństwa! Witaj chlebny raju!

Tak opisuje ziemię Miechowską piewca piękna naszej ziemi, Wincenty Pol, ziemię rodzinną chłopskiego bohatera, Bartosza Głowackiego z Rzędowic. Urodzajność tej ziemi powoduje gruba warstwa lekkiej glinki, zwanej lessem, pomieszanej z czarnoziemem i marglem, która okrywa tu morze pagórów, należących do Małopolskiej Wyżyny. Ziemia ta, zwana „Spichrzem Krakowa" rodzi najprzedniejsze zboża, zwłaszcza śliczną pszenicę, buraki cukrowe, całe morgi tytoniu, kukurydzy, jarzyn, owoców. Zbocza pagórków poryte są głębokimi wąwozikami, przez które przemykają się kręte, w czas deszczowy niemożliwie błotniste drożyny, a u podnóży wzgórz ciągną się szerokie doliny rzeczułek, umajone łąkami, białymi nadwiślańskimi topolami, wierzbami i olchami. Krajobraz jest typowo rolniczy, typowo polski. Perłą tej ziemi urodzaju jest okolica miasteczka Proszowice, którego nazwa wywodzi się od słowa proso. Lecz uprawę prosa a nawet pszenicy, zepchnęła tu na drugi plan uprawa buraków i tytoniu. Obfitość pierwszych spowodowała założenie dwóch fabryk cukru. (Szreniawa i Kazimierza), drugiego — zbudowanie wielkiego magazynu przez Proszowicki Związek Plantatorów Tytoniu.

Nie tak wyglądała ta okolica przed dwustu blisko laty, kiedy to w Rzędowicach, wiosce o 6 km na półn.-zachód od Proszowic położonej, przyszedł na świat Wojciech Bartos, przyszły bohater spod Racławic, przyszły szlachcic herbu Korczak i porucznik grenadierów krakowskich. Parafię mieli i mają Rzędowiczanie w ślicznie na wzgórzu położonej Koniuszy.

Dokładna data urodzenia Bartosza nie jest znana, gdyż metryka jego chrztu, jako też późniejszych zaślubin z Jadwigą Czernik, spłonęła w pożarze, a zachowane są tylko metryki ślubu jego córek i ich potomstwa.

Rzędowice zaś leżą w dolinie nad potokiem Scieklec, wprost od niedalekich stąd Racławic płynącym, którego mętne od rozpuszczonej glinki wody, obracają rolnikom koła młyńskie, zwilżają im łąki i pastwiska, a bawiącym się w wodzie pastuszkom dają raki, piskorze, karasie. Nie wyglądała okazale za dawnych czasów wioska Bartoszowa, bo i dziś jeszcze pomimo urodzajności gleby przedstawia się ubogo, zacofanie i nieosobliwie. W zboczu wzgórza mały kamieniołom marglowy, nad potokiem duże błonia, wzdłuż drogi błotnistej sznur domów (50), przeważnie starych, pochylonych, słomą krytych. Ludność w większości małorolna, niezamożna. Tradycja o Głowackim żywo dochowana; wieś chlubi się tym, iż wydała bohatera narodowego.

Za czasów powstania Kościuszkowskiego, dziedzicem Rzędowic był starosta Antoni Szujski, a dobrami jego zarządzał tu administrator Trawiński, o którym niechlubne zachowały się wspomnienia. Sam Szujski cenił Bartosza, a na wiadomość otrzymaną od Kościuszki o jego mężnym czynie na polach Racławickich, polecił rządcy hojnie obdarować rodzinę kosyniera — porucznika i uwolnić ją od pańszczyzny i poddaństwa. Dowodem tego jest list autentyczny starosty. To też utrzymująca się pogłoska jakoby Szujski źle obszedł się z rodziną Głowackiego i cofnął jej później zwolnienie z poddaństwa, jest niezawodnie sprawą Trawińskiego, lub nowonabywcy Rzędowic w r. 1804 M. Paszewskiego. Od tego nabył te dobra — rzecz dziwna — Niemiec Hazer, z którego rąk przeszły przed około 60 laty na parcelację.

Dom rodzinny Bartosza nie stoi w głównej ulicy, lecz w grupie za potokiem. Raczej stał, bo jest on już trzecim z rzędu. Pierwszy autentyczny, zawalił się ze starości przed 80 laty, a nowy, na jego miejscu zbudowany w r. 1868, również upadł ze starości. W r. 1943 zawaliła się powała w jednej izbie, w drugiej trzymała się jeszcze, a jego mieszkańcy z resztką sprzętów przenosili się do nowego, parę kroków wyżej postawionego domu, właśnie w chwili, gdym ich latem odwiedził.

Choć prawie połowa ludności Rzędowic, bo przeszło 150 osób, przyznaje się do pokrewieństwa z Głowackim, nikt we wsi nie nosi jego nazwiska, bo nie zostawił on syna, jeno trzy córki. Potomstwo ich ma nazwiska: Bławuty, Kmieciki, Koziki i Nowaki. Liczba potomków tych została obliczona, gdy rząd polski powziął przed kilkunastu laty zamiar obdzielenia ich ziemią. Wielka ilość pretendentów sprawę skomplikowała tak, że poszła w odwłokę, a później przeszkodziła jej wojna. Wzniesiono natomiast jako pomnik Bartosza nową piętrową murowaną szkołę.

Czy ziściły się nadzieje prawnuków Bartosza co do przydziału im ziemi podczas ostatniej parcelacji dworów, niewiadomo, bo obszar dworski w Rzędowicach zniknął już — jak wspomniano — przed kilkudziesięciu laty, ale parcelacje dużego obszaru w sąsiednich, o miedzę ledwie odległych Dalewicach dobrą ku temu dawała sposobność. Nie może bowiem tak być, aby potomkowie tego, którego imię od półtora wieku otacza niespożyta i wzrastająca chwała, który pierwszy wpoił narodowi szacunek dla chłopskiego stanu — bytowali w nowej Polsce Ludowej w biedzie i walących się chałupach! Związek Samopomocy Chłopskiej powinien Rzędowice i Racławice uczynić przedmiotem swojej specjalnej opieki i troski. Nie postawimy bowiem na mogile Bartosza pomnika, ani nie zapalimy znicza, bo niewiadomo nawet, gdzie jego szczątki spoczęły. W dwa miesiące po swym Racławickim czynie, poległ on z kwiatem kosynierów w bitwie pod Szczekocinami dnia 6 czerwca 1794 r. i jedni z historyków twierdzą, że wraz z nimi spoczął tam we wspólnej żołnierskiej mogile wraz z generałem J. Wodzickim. Inni, że z ran umarł w Kielcach i spoczywa na tamtejszym cmentarzu w nieoznaczonym dokładnie miejscu, inni wreszcie, że w miasteczku Małogoszcz.

Zabłysnął Bartosz Głowacki jak meteor i znikł szybko jak meteor. Dał naj wyższą ofiarę ojczyźnie, bo życie w kwiecie wieku, ale wygrał stawkę życia, bo już Jan Kochanowski powiedział:

Nie przegra, kto frymarczy za sławę żywotem!

W OSTATNIM 48 (76) NUMERZE „WSI" Z DNIA 8 GRUDNIA 1946 r.:

Bartłomiej Bigorajski — **Czy kryzys uniwersytetów ludowych w Polsce?** Stanisław Piętak — **Powrót wnuczka, Dziewczyna;** Andrzej Skupień Florek — **Biały Dunajec;** Czesław Schabowski — **Mitka;** Anna Kamieńska — **O nową poezję dla dzieci;** Anna Kamieńska — **Pieniądz, Wiosna;** Leszek Goliński — **Ziemia gromadzi łzy;** Marianna Witkowska — **Ze dworu do Łodzi;** Stanisław Kolada — **W obejściu;** Kolumna recenzji: Stefan Lichański — **Pożyteczna książka; Od liryki do satyry;** Anna Kamieńska — **„Pinokio" — wzór literatury dla dzieci. Fakty i zdania.** 3 ilustracje, komunikaty, ogłoszenia, 8 stron.

REDAKCJA TYGODNIKA „WIEŚ"

OGŁASZA

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

NA TEMAT:

„JAKIEJ POWIEŚCI CHCE DZISIEJSZA WIEŚ?"

W dniu 6 grudnia 1946 Sąd Konkursowy w składzie: Stefan Lichański — przewodniczący, Teodor Goździkiewicz, Zygmunt Kałużyński, Tadeusz Papier, Stanisław Piętak, Leonard Sobierajski — członkowie — na trzecim kolejnym posiedzeniu po rozpatrzeniu nadesłanych prac, zadecydował przyznać nagrody:

I. JÓZEFOWI BIEŃKOWI (Librantowa — Nowy Sącz).
II. ADOLFOWI KOTARBIE (Chrzanów, poczta Włochy, k/Warszawy) i MIKOŁAJOWI SZMIGULARZOWI (Wrocław).
III. HENRYKOWI BIŁCE (Sucha k/Żywca), PIOTROWI OŻAROWSKIEMU (Zlaków Borowy pod Łowiczem) i STANISŁAWOWI SARAMIE (Łódź).

Ze względu na wyrównany poziom prac Sąd Konkursowy uznał za konieczne rozdzielić ogólną sumę nagród pieniężnych w sposób następujący:

I. — 4.000 zł., dwie II. — po 2.000 zł., trzy III. — po 1.500 zł.

Ponadto przyznano 20 nagród książkowych następującym uczestnikom konkursu:

1. MARIANOWI CIEŚLAKOWI (Poznań).
2. MACIEJOWI CZULE (Brzesko Krakowskie).
3. WŁADYSŁAWOWI GAŁĄZCE (Bratoszewice, pow. Brzeziny).
4. STANISŁAWOWI GĘBALI (Żabno nad Sanem).
5. STEFANII GŁUSZAK (Skrzynów Dolny, pow. Tarnów).
6. STANISŁAWOWI KISZCE (Piętkowa, pow. Rzeszów).
7. JÓZEFOWI MARCINIAKOWI (Łódź).
8. WALEREMU OSMENDZIE (Olkusz).
9. STANISŁAWOWI PALECZNEMU (Koparzyce, woj. wrocławskie).
10. FRANCISZKOWI PIĘTAKOWI (Wielowieś k/Sandomierza).
11. PIOTROWI PŁONCE (Piekary Śląskie, Górny Śląsk).
12. STANISŁAWOWI ROGOWSKIEMU (Gadowo, pow. Płońsk).
13. JANINIE ROKICKIEJ (Księżnice Okr., lubelskie).
14. JÓZFOWI SABURZE (Gdynia).
15. KAZIMIERZOWI SIMBIEROWICZOWI (Hieronimów, pow. iłżecki).
16. SEWERYNOWI SKULSKIEMU (Karnkowo, p-ta Lipno).
17. JANOWI SOBKOWI (Handzlówka, p. Albigowa).
18. MICHAŁOWI ŚREDNIAWIE (Tworkowa, pow. Brzesko).
19. JANOWI WILKOWI (Łętkowice, pow. Miechów).
20. PIOTROWI WYROBKOWI (Kraków).

Oprócz tego wyróżniono poza konkursem 12 prac, których autorami są:

JÓZEF BŁACHOWICZ (Tuszyna, pow. Mielec), FRANCISZEK BUDZIŃSKI (Kraków), CECYLIA DEMSKA (Jarosław), STEFANIA KĘDRYNOWA (Śmieć, pow. Prądnik), MARIA KOTALSKA (Kuczki — Kolonia, pow. Radom), WŁADYSŁAW KUCHTA (Mołodutyn, pow. Chełm Lub.), TYMOTEUSZ MAMIŃSKI (Środa Wlkp.), LEOKADIA MARCINIAK (Gałkówek, pow. brzeziński), JAN OLEJNICZAK (Łowicz), BRONISŁAW SAŁUDA (Łowicz), JAN STRZĘBAŁA (Mąchocice, pow. Kielce), ANTONI SZMIGIEL (Babica, pow. Rzeszów).

Szczegółowe omówienie konkursu będzie tematem specjalnych artykułów, które ukażą się w najbliższych numerach „Wsi". Wszystkie prace nagrodzone oraz niektóre z wyróżnionych będziemy zamieszczać na łamach naszego pisma.

Wszyscy nagrodzeni i wyróżnieni proszeni są o podanie aktualnych adresów, celem przesłania nagród.

Nagrody pieniężne i suma przeznaczona na zakup książek zostały wyznaczone ze specjalnej dotacji PAŃSTWOWEGO BANKU ROLNEGO.

Anna Kamieńska

Ze Szkoły Stronnictwa Ludowego

Gdy wykładowca kończył przemówienie i prosił słuchaczy o wypowiadanie się w dyskusji — wszyscy odwracali głowy w kierunku, skąd wiedzieli, że padnie pierwszy głos. Nie zawiedli się prawie nigdy. Ten kolega miał zawsze jakieś wątpliwości, pytania. Często odzywał się, aby po prostu pokazać się, czasem aby ratować honor grupy, że przecież nie gęsi, często dlatego, że chciał właśnie dowiedzieć się czegoś, wykorzystać autorytet prelegenta. Pytania jego, a także pytania z innych stron sali przeważnie nie były związane z tematem wykładu, lub natychmiast odrywały się od niego. Właściwie nie powinno to było dziwić nikogo. Zagadnienie omawiane, choć często żywotne dla słuchaczy, nie zdążyło w formie wykładu stać się zagadnieniem własnym, praktycznym. Problem rozprowadzenia nawozów sztucznych łączył się tak z organizacją Rad Narodowych, a sprawa kolektywizacji z historią Polski przedwrześniowej. Pytania te nie poddawały się ocenie stopnia inteligencji. Odsłaniały one bowiem, tak jak trzeba, punkty zapalne umysłów, potrzeby życia, przesądy i uprzedzenia. Konkretnością zainteresowań można było niemal mierzyć zdrowie społeczne tej grupy, podczas gdy zdarzała się także wypowiedź w formie teoretycznej, wychodząca od analizy pojęć. Nie wyjątkowi są w wiejskim środowisku ambitni czytelnicy filozofów, lecz są to na ogół ludzie pokłóceni z otoczeniem, intelektualiści z temperamentu bez rzeczowej podstawy wiedzy.

Tak każdy działacz zgłaszający się na kurs polityczny Stronnictwa Ludowego obok solidnej chęci nauczania się czegoś, bronił także swej niewiedzy od strony swoich i swego środowiska błędów i lęków. Można się było spodziewać, że znajdą się tu jednostki najbardziej postępowe wśród chłopów. Lecz postępowość tej młodzieży nie polegała na rozporządzaniu szeregiem argumentów godzących w stan obecny lub były. Była to raczej postawa skłonna do wypróbowania takich argumentów. Każdy ze słuchaczy czuł za sobą pewną własną grupę, która sprzeciwia się lub powątpiewa. Każdą wiadomość nabytą odnosił do tej grupy — czy jest dla niej użyteczna. W fakcie wyrwania się ich ze środowiska na czas krótki tkwiło mocno poczucie więzi z pozostałymi, chęć gromadzenia wrażeń i wiadomości z zamiarem przekazania ich po powrocie. Jeden z kolegów pilnie prowadził dziennik zajęć, wypisywał co, kiedy, kto powiedział, zbierał broszury i gazety, pytał o nazwiska i daty, a wszystko z myślą o dniu powrotu, kiedy całą swoją wiedzę roztoczy przed ojcami i kolegami we wsi — nie tylko aby się popisać, raczej żeby zadziwić i przywieźć coś ze świata. Przejawia się w tym ufność dla tych wartości kulturalnych, które przychodzą z góry. Budzi uznanie to ujęcie wiedzy jako własności społecznej, dążność do zużytkowania jej w działaniu. Te cechy zaobserwowane w grupie młodych chłopskich działaczy niewątpliwie nakładają wielką odpowiedzialność na tych, którzy z jakimkolwiek słowem zwracają się do nich. Nie w znaczeniu przenośnym, ale zupełnie doraźnym słowa te obejmują wpływem całe kręgi chłopskich umysłów pozostające poza salą wykładową.

Wojna pozostawiła wyraźne ślady w ich sytuacji umysłowej. Niektórych wytrąciła z normalnej nauki w szkole średniej, innym przerwała nawet szkołę powszechną, większość cofnęła do stanu półanalfabetyzmu, kiedy nie staje się zajęciem dlatego, że czytanie staje się zajęciem trudnym, mozolnie wykonywanym. Obok tego jednak duża część mężczyzn przeżyła partyzantkę, obóz lub przymusowe roboty, wiele dziewczyn — służbę u Niemców w polu czy fabryce. Włóczęga po miastach i poprzez granice, praca konspiracyjna dała pewną odrębną wiedzę przejawiającą się często w pewności siebie, czy nawet zarozumialstwie, nadwrażliwości „honoru" i krytycyzmie.

Błędy myślowe tej grupy — np. doszukiwanie się jakichś religijnych podstaw państwa, operowanie pojęciem natury na wsi w przeciwstawieniu do cywilizacji w mieście — nie wydawały się niebezpieczne pomimo ostrego sformułowania. Były to nawyki myślowe, reminiscencje z lektury romantycznej, bezwładne wobec tego, że wyznawcy ich byli w praktyce działaczami spółdzielczymi, traktorzystami, czytelnikami książek fachowych.

Wypowiedzi ich w gazetce szkolnej nosiły charakter ogólnikowy, hasłowy. Doświadczenia własne i sądy osobiste skłonniejsi byli objawiać w rozmowach. Pisanie uważali samo w sobie za funkcję oficjalną, wyraz ogólnych, a nie własnych poglądów. Cecha ta wydaje się wspólna dla wielu początkujących pisarzy ludowych. Łączy się z nią przecież i pewien naiwny realizm. Zdarzył się w gazetce ciekawy wiersz, który nawet wzburzył opinię zainteresowanych jako bezsensowne gadulstwo. Wyglądał ten wiersz na trochę dziwaczną, ale piękną fantazję, w której Kraków leży nad morzem dzięki biegom rzek Wisły i Odry, po patyku idzie się do Bałtyku, a gmina Panek staje na drodze partyzanta. Okazało się jednak, że ten świat fantastyczny nie był zamiarem poetyckim, przeciwnie — autor upierał się, że istnieje na Pomorzu wieś Kraków i gmina Panek, a patykami nazywają tam kładki położone na bagnach.

Ta pobieżna charakterystyka grupy nie byłaby choć w zarysie skończona, gdyby nie wspomnieć o sposobie koleżeńskiego, towarzyskiego współżycia. Podobnie jak postawa umysłowa wskutek nieporadności myślenia i braku wiedzy mogła się wydawać wsteczna, i tak we współżyciu okazała się potrzeba pewnych umiejętności, nie cnót. Nie było ono bynajmniej harmonijne. Wrażliwość, zbytnie poczucie godności własnej, przyzwyczajenie do samotnie wykonywanej pracy stworzyły większe, niż można się było spodziewać, trudności. Nagłe ograniczenie swobody i przymus całodziennej pracy umysłowej od razu wydał się niektórym nie do zniesienia. Nawet gwar — nieunikniony w tak licznej grupie ludzi okazał się dla kogoś dość ważnym powodem rezygnacji z ukończenia kursu. „Mury wyciągną z człowieka..." — i „Nikt nie wie, jak mi się przykrzy" — mówił najgorliwszy, którego każdy wykład uderzał w serce, sądząc po zapiskach przeznaczonych dla jego wsi. Łatwiej było o usługę, niż o uprzejmość koleżeńską. Z drugiej strony bez trudu nawiązywały się więzy przyjaźni i sympatii.

Ta próba określenia charakteru grupy bynajmniej nie prowadzi do stwierdzenia jakiejś odrębności w stosunku do innych środowisk. Wprost przeciwnie — wszystko wskazywałoby na to, że był to materiał, z którym można by zrobić wszystko, lub bardzo wiele tylko przy pomocy wiedzy, a nie jakichś cudownych metod psychologicznych, tylko przy pomocy racjonalnej organizacji, a nie wyjątkowych uzdolnień kierowniczych.

Ważne jest to, poco ludzie zbierają i w jakich formach organizacyjnych wypełniają cel swego zrzeszenia i to tylko wystarcza, aby nadać grupie charakter bez względu na temperamenty i uzdolnienia członków.

Celem Szkoły Politycznej Stronnictwa Ludowego jest przygotować instruktorów do działań politycznych w terenie. Niezależnie od tego, czy są to ludzie rzeczywiście zdolni do tej roli, co w tej grupie występowało w małej mierze wskutek niedostatecznego wieku i wyrobienia — program szkoły uwzględniał typ działacza chłopskiego obeznanego przede wszystkim z organizacją demokratycznego państwa i zasadniczymi prawami gospodarki oraz umiejącego się poruszać w ramach organizacyjnych politycznego ruchu ludowego.

Sprzyja temu programowi miejsce Szkoły w stolicy, ułatwia bowiem bezpośrednie zetknięcie się z życiem politycznym i organizacyjnym Stronnictwa i umożliwia zapoznanie się młodych chłopów z kierownikami swego ruchu, z kierownikami resortów państwowych i instytucyj gospodarczych i kulturalnych.

Fakt, że Centralna Szkoła Stronnictwa Ludowego jest właściwie w fazie organizowania się i rozrastania z bardzo szczupłych i utrudnionych przez warunki początków — pozwala na krytyczne uwagi dotyczące organizacji i potrzeb Szkoły.

Pierwszą, bodaj najdotkliwszą słabością Szkoły jest brak biblioteki i słowa drukowanego w poważniejszej ilości i zakresie. Z prasy codziennej nie tylko organ Stronnictwa Ludowego, ale i inne dzienniki byłyby konieczne. Nie mówiąc o tym, że odczuwa się brak czasopism społeczno-literackich, a między nimi „Wsi", wydaje się prawdziwym zaniedbaniem nieobecność pism Samopomocy Chłopskiej. Brak książki w szkole jest czymś niesłychanym, nawet z czysto zewnętrznego oglądu. Straty intelektualne płynące z tego łączą się z niebezpieczeństwem zlekceważenia teorii, wiedzy książkowej przez uczestników kursu, co i tak jest częstym błędem działaczy ludowych.

Podanie bibliografii zagadnień, zapoznanie z rodzajami książkowych i periodycznych wydawnictw w Polsce powinno być pierwszą czynnością w Szkole. Następnie kontakt z licznymi i coraz innymi prelegentami, choć ciekawy i pouczający, wydaje się niecelowy. Raczej kosztem pewnej atrakcyjności należałoby poddać grupę szkolną oddziaływaniu paru tylko umysłów nastawionych na najważniejsze działy: organizacji, gospodarki i kultury. Wówczas dopiero możnaby kreślić systematyczny plan wychowania.

Szczuple rozmiary czasu — miesiąc — w stosunku do wszechstronności programu utrudniają rozbudowanie niezbędnej części szkoły, tego, co w rozmowach nazwano samorządem umysłowym w odróżnieniu od organizacyjnego. Tak zwane zajęcia seminaryjne podobne raczej do zebrań dyskusyjnych umiejętnie kierowanych, niż do lekcyjnych repetycji byłyby najważniejszym środkiem pedagogicznym. Zwłaszcza, że potrzeby swobodnego wypowiadania się budziły się żywo w samej grupie i nie zostawały wykorzystane, a zespołowe redagowanie gazetki szkolnej nasuwało wiele powodów i materiałów do dyskusji. Dobrze zorganizowana część wykładowa Szkoły nie znajdowała przedłużenia i utrwalenia w tak pomyślnej instytucji samorządowej.

W sprawach wychowawczych pozostawienie większej swobody uczestnikom kursu zmniejszyłoby trudności kierownictwa i przyniosło pożytek słuchaczom. Pilnowanie jest oczywiście łatwiejsze od wychowania, ale w stosunku do dorosłych często zawodzi. A przecież chłop w wielkim mieście ciągle jest jeszcze zagubionym intruzem, ciągle miasto wydaje mu się jakimś obcym światem. Dłuższy pobyt w Szkole Stronnictwa w Warszawie powinien zaznaczyć się przezwyciężeniem tego poczucia obcości wobec miasta.

W szkole, w której cały dzień spędza się razem nie najmniej ważne ze względów po prostu higieny umysłowej jest zorganizowanie wieczorów. Nazywa się to w Szkole świetlicą — może niesłusznie. Wychodzą specjalne pisma poświęcone pracom świetlicowym. Świetlica predestynowana na zastąpienie przeżywających się inteligenckich form współżycia towarzyskiego w klubach i lokalach rozrywkowych — budzi ciągle szereg wątpliwości, jest raczej instytucją młodzieżową, nie wolną od szeregu przeżytków salonowych i przymusów. W każdym razie forma świetlicy chłopskiej wymaga osobnego opracowania. Zagadnienie to na bardzo małym odcinku dotyka tematu. Należy tu tylko podkreślić, że rozrywkowy cel świetlicy nie powinien zbyt brutalnie naruszać powagi zespołu połączonego celem nauki, że paradoksalne powiedzonko Shaw'a o starzeniu się wskutek zaniedbania zabawy brzmi nietaktownie w naszych czasach i w chłopskim środowisku, gdzie ludzie tak wcześnie starzeją się od pracy.

W okresie szkolnym znalazł się czas na przygotowanie szeregu inscenizacyj. Niektóre z nich były opracowane jako części kompozycji scenicznej na temat ruchów chłopskich w historii Polski. Materiały do tego montażu scenicznego w dużej mierze znalazły się w tygodniku „Wieś". Niestety, tylko część została zrealizowana, gdyż całość wydawała się na próbach zbyt poważna i szkolna. A jednak okazało się, że próby niezupełnie mogły być miarodajne. Aktorzy dopiero wobec gęstej widowni pokazali, co mogą. „Rebelija goroli w Mostach" Pawła Kubisza stała się tak własnością paru uczestników inscenizacji, a wiersz Henryka Syski „Wyzwolenie" drukowany w „Świetle" lubelskim — wiersz o wprowadzeniu reformy rolnej ożywił zabawny i żywy obrazek rodzajowy, w którym chłopi skupieni wokół wywieszonego właśnie przez wójta dekretu o reformie określają w dialogu nową sytuację i snują plany urządzenia lepszego życia.

Jedną z największych wartości Szkoły jest niewątpliwie poczucie więzi wzajemnej, jakie konstatuje się bez fałszu w miarę upływania czasu na wspólnej pracy. To „razem!" chłopskiej gromady, chociaż tak małej, jest dla polityki współczesnej ważne, niemal programowe.

Gdyby Szkoła Stronnictwa Ludowego mogła wykorzystać więcej cennych umysłów chłopskich, jak to robi z jednostkami, nie porzucając ich z końcem kursu, lecz pomagając w dalszym kształceniu się i pracy — byłby to bardzo ważny wkład w organizację politycznego ruchu chłopskiego — wkład rzeczowy.

A. F. Kirło-Nowaczyk

*
* *

Wiem. Głodnym wargom chleba nie zastąpisz
mój wierszu. W rozpaczy dzisiaj odejdę
na ugór, który opłakały skąpe
deszcze na dolę nową i na biedę.

Dziewczyna moja zapyta o kołacz,
któremu świeże chciałem pisać strofy,
a ja niepomny, że o chleb zawoła,
blady pastuszek, maszczę się hyzopem.

Kukurydziane łuskali dziś ziarna
ludzie idący miedzą. W łzach topniały
godziny płone na rękach czarnych
i chrzciła krew jałowe na polach podbiały.

Gdzie powód stroić w jaśmin młody uśmiech?
Czyliż głodny jestem i nieme mam wargi?
Pastuszek głód swój wypłacze nim uśnie...
Poetą nie jestem, nie pojąwszy skargi!...

O strofy moje! by was w chleb zamienić
co trzeba? Złota, czy nieba ogromu?

. . . .

Syty, bym wśród głodnych czoła nie rumienił
i więcej głodnych nie nawiedzał domów...

1942 r.

Piotr Stanisław Ziarnik

Jak dostaczyć słowo drukowane na wieś?

Takie pytanie stawia wszystkim zainteresowanym Komitet Konkursowy w Warszawie — zorganizowany prawdopodobnie przez Zarząd Główny „Czytelnika". Jakkolwiek Komitet Konkursowy przeznaczył za najlepsze odpowiedzi (przysłane w zapieczętowanych kopertach) znaczne kwoty pieniężne — dla dobra sprawy, zbyt poważnej na tego rodzaju traktowanie, chcę zastanowić się nad tym problemem w najbardziej właściwym na to miejscu — na łamach „Wsi". Publicznie.

Dać odpowiedź wprost byłoby, uważam, najbardziej niewłaściwe, gdyż wtedy trzeba by uprościć sprawę, ominąć cały kompleks problemów merytorycznych, które pytanie stawiają we właściwym świetle. Co ważniejsze: odpowiadając wprost, musielibyśmy założyć z góry i przesądzić, że wieś dlatego tylko mało czyta, bo w tych warunkach ma słaby dostęp do słowa drukowanego. To byłoby niezupełnie słuszne założenie.

TRZY GRUPY CZYTELNIKÓW NA WSI

Jest powszechnie wiadomym, że w ogólnym ruchu czytelniczym, ogromna, bo 70-procentowa masa narodu polskiego, ma minimalny udział. Na wsi mało się czyta. Zarówno książek, jak czasopism. Dość powiedzieć, że starsi w większości nie czytają w ogóle — szczególnie kobiety, a młodzież nieucząca się — po szkole powszechnej — również szybko traci kontakt z książką, dłużej czytuje zaś gazety. Stałych czytelników książki jest na wsiach bardzo mało. Do rzadkości należą zaś bibliofile.

Z moich doświadczeń i obserwacji nad młodzieżą i starszymi, nad sąsiadami i kolegami, wynika, że starsi nie czytają przeważnie dlatego, gdyż sprawia im to dużą trudność. Po prostu — z czasem popadli w powtórny analfabetyzm, lub półanalfabetyzm i nie mogą — mimo licznych prób — wybrnąć z niego. Ta grupa, żyjących na wsi ludzi, którzy uczyli się w szkołach powszechnych: rosyjskiej, pruskiej i austriackiej — ma najmniejszy odsetek czytających. Są oczywiście i w niej wyjątki, ale nie zmieniają one ogólnego obrazu czytelniczego całej grupy.

A przecież grupa ta ma bardzo dużo na wsi do powiedzenia zarówno w sprawach publicznych, jak i rodzinno - domowych, gdyż są to ludzie w wieku od 40 lat wzwyż, więc większość kierowników gospodarstw. W tym stanie wpływów pokolenie to, rozporządzające w większości funduszami rodzin, nie jest naogół zainteresowane książką i nie zwraca na nią uwagi w księgarni, czy kiosku, gdyż często z trudem odczytuje tytuł. Pamiętam dobrze sprzed wojny drugą część tego pokolenia, tę, która czytała i czyta obecnie. Jest to nieliczna grupa — przeważnie działacze ludowi, czynni dziś, albo znajdujący się z różnych względów na uboczu, w części dawni członkowie przedwojennego samorządu, spółdzielcy, wreszcie postępowi gospodarze. Ludzie ci bezsprzecznie należą do najbardziej rozmiłowanej w książkach „publiczności". A jednak gdy zobaczy się, co przez wiele lat zgromadzili, co pozostawili dzieciom i wnukom ze swych umiłowań czytelniczych, ogarnia zdumienie, gdyż kilka książek, rocznik jakiejś gazety, nie są w żadnym stosunku do ich czytelniczej przeszłości. Dlaczego tak jest? Odpowiedzi udzieli przypomnienie warunków ekonomicznych, w jakich znalazły się gospodarstwa po roku 1926. Nie chcę ich analizować. Wszyscy wiemy, że był to najcięższy okres dla rolnictwa, który winić należy za kolosalne zapóźnienie, w jakim znajduje się wieś w chwili obecnej. Cóż mówić o możliwościach małych gospodarstw, stanowiących przytłaczającą większość, gdy nawet gospodarstwa pełnorolne z trudem wiązały koniec z końcem. Dla czytającego chłopa kupno książki, czy gazety, było wtedy poważnym problemem. Weźmy pod uwagę, że przeciętnie powieść kosztowała 3—5 zł, zbiorek poezjii 2—5 a nawet więcej, książka naukowa, lub fachowa znacznie drożej, a gazeta 10—50 groszy. Jeżeli porównamy te ceny z cenami zboża (żyto 10—15 zł), widzimy jasno, że o kupnie kilku książek w ciągu roku nie mógł chłop nawet marzyć, a prenumerata dziennika była wprost nie do pomyślenia.

Nie jest więc dla mnie dziwnym, że pokolenie starszych nie zostawiło w chatach wiejskich choćby kilku książek, czy roczników pism rolniczych lub oświatowych. Warunki materialne po 1926 r. uniemożliwiały chłopom wydźwignięcie się z ogarniającego ich analfabetyzmu.

Pokolenie drugie, uczące się po wojnie lat 1914—18 jest na ogół żywsze kulturalnie. Na ogół wszyscy mają ukończoną szkołę powszechną 4—7 oddziałową, wielu kończyło szkoły rolnicze, część uniwersytety ludowe. Oni tworzyli pierwsze organizacje młodzieżowe na wsiach: „Siew", „Wici", KSM. Oni organizowali i prowadzili spółdzielnie. Te prace społeczne, polityczne i wychowawcze — rzecz jasna — związały ludzi z książką, toteż chętnie czytają; jedni planowo, inni chaotycznie. Znam osobiście wielu z nich w różnych wsiach. Są to w wielu wypadkach moi rówieśnicy i koledzy z wiejskiej szkoły powszechnej. Muszę przyznać, że często bywałem zdumiony, widząc ich zbiory książek. Mieli u siebie, własne, ładnie nawet oprawione poezje trzech wieszczów Konopnickiej i Kasprowicza, powieści Kraszewskiego, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa, Żeromskiego, Struga, Ossendowskiego, Sieroszewskiego, Parandowskiego, a nawet nowości. Znajdowałem również obok książek fachowych, „Pisarzy ludowych" Konińskiego, rozprawy Chałasińskiego i studia ekonomiczne. Pewnie, chłopi ci nie stanowili jakiegoś procentu. Byli to po prostu wybitni młodzi ludzie, którzy zamiast — wedle uzdolnień i zamiłowań — pójść do szkół średnich, a później na uniwersytety i do akademii, zostali zwykłą koleją rzeczy na wsi. Tak po prostu — z biegiem lat w wyniku niedbalstwa, lub złej woli rodziców.

Gdy, mówi się o pokoleniu chłopów, którzy młodość przeżyli już w wolnej Polsce, to siłą rzeczy nie można przy klasyfikacji ich jako czytelników sugerować się poprzednio przytoczonymi faktami. Trzeba szukać cech przeciętnych. Do tych zaliczyć należy: fakt, że procent analfabetyzmu jest w tym wypadku niewielki, a analfabetyzm powtórny trafiał się, ale nie odgrywa dużej roli. Jeżeli chodzi o przeszłość czytelniczą, czy raczej kulturę czytelniczą, to stwierdzić trzeba, że wśród nawet mało interesujących się książką, trudno znaleźć takiego, któryby w życiu nie przeczytał żadnej książki. Łatwość czytania, wyniesiona ze szkoły, gra tu zasadniczą rolę. Oczywiście — nie znaczy to, aby w tym pokoleniu nastąpiło ostateczne przesilenie w kierunku szukania książki. W większości i ono traktuje słowo pisane, szczególnie książkę, jako zjawisko, znajdujące się, gdzieś na dalekim miejscu, w hierarchii nawet nie potrzeb, ale spraw godnych uwagi. Wprawdzie poszukuje i wykorzystuje pisma fachowe, nawet i książki rolnicze ale nie ma żadnego stosunku do literatury pięknej, absolutnie nie orientuje się w nowościach i nie odróżnia Mniszkówny od Żeromskiego.

Tym nie mniej procent czytelników wśród dorosłych w wieku średnim lub dopiero dojrzałym jest w porównaniu ze starszymi kolosalny. Dla tych ludzi trudno pomyśleć życie bez gazety lub broszury. Żżyli się już z nimi, korzystając z bibliotek szkolnych, gminnych, prywatnych zbiorków inteligencji wiejskiej, a nawet bibliotek miejskich. Rzecz jasna, procent kobiet czytających jest i w tym wypadku mały.

Do kupna książek jednak i omawiana — różnorodna oczywiście grupa chłopska — nie przyzwyczaiła się. Książka nie została zaliczona do potrzeb — szczególnie t. zw. beletrystyka. Przyczyną zasadniczą tego stanu były znowu warunki materialne. Koszt książek przed wojną nie został dostosowany do ekonomicznych warunków chłopa.

Ten bardzo skrócony i uproszczony przegląd zamknąć należy ostatnim interesującym nas pokoleniem młodzieży dorastającej, które wojna zastała w szkole, albo dopiero po skończeniu szkoły.

Wydaje mi się, że ta grupa jest dla przyszłości najbliższej najważniejsza. Niestety, dla każdego, kto zna obecną młodzież wiejską, nie jest tajemnicą, jej niski poziom kulturalny, zastraszająca obojętność na sprawy kulturalne, jak również właściwa całej polskiej młodzieży dorastającej w czasie wojny, demoralizacja.

Młodzież na wsi po wojnie prawie nie czyta. Co gorsze — spora jej część jest o krok od powtórnego anafabetyzmu. W czasie okupacji miałem możność, jako nauczyciel w dwu gminnych t. zw. „szkołach rolniczych" gdzie zbierała się raz w tygodniu młodzież w wieku od lat 14 do 16, obserwować ją dość dokładnie. Właściwa temu wiekowi przekora nie przysłoniła mi — sądzę — obiektywnego obrazu. Mogę bez przesady powiedzieć, że w jednej szkole ani jeden chłopiec spośród około dwustu, których uczyłem w ciągu czterech lat, nie przeczytał w domu żadnej książki, żadnej noweli (a przecież była to gmina granicząca z miastem powiatowym) — w drugiej na tę samą mniej więcej ilość, co w poprzedniej, chłopców czytających było nie więcej niż dwudziestu. Dodać należy, że chłopcy ci mieli stały dostęp do lektury, gdyż liczniejsza wtedy niż przed wojną grupa inteligencji na wsi chętnie książki pożyczała, a nierzadko wręcz namawiała do czytania. Niestety ani moje tłumaczenia, ani namowy właścicieli książek nie mogły przełamać biernego oporu młodzieży.

Piszę o tym bez przesady, gdyż kilka spotkanych wyjątków nie ma żadnego znaczenia. Oczywiście w uwagach tych nie wspominam młodzieży, uczęszczającej na tajne — nieliczne zresztą — wiejskie komplety gimnazjalne i do mniej jeszcze licznych szkół gospodarstwa wiejskiego.

Ten rozbrat z książką młodzieży, odbił się również na starszych, ale to ma mniej groźne konsekwencje.

P wojnie w czytelnictwie na wsi mało się zmieniło na lepsze. Ci, którzy czytali — czytają i obecnie. Duży procent młodzieży wyemigrował do szkół i z pewnością przyjeżdża do domu przywożąc książki. Sporo ludzi pracuje społecznie i politycznie — sporo bierze udział w różnych kursach. W tych wypadkach siłą rzeczy słowo drukowane znalazło się na drodze chłopów. Tylko — rzadko jest nim książka, należąca do literatury pięknej. Najczęściej kontakt ze słowem pisanym odbywa się przez tańszą w porównaniu z książką — gazetą lub broszurą.

Na słaby rozwój, a właściwie na pewnego rodzaju zastój, jaki obserwujemy obecnie w czytelnictwie wiejskim, duży wpływ mają czynniki poza kulturowe. W świetnej książce „Publiczność literacka", zawierającej studia z pogranicza literatury i socjologii, prof. Bystroń przeprowadza między innymi ciekawe wywody o warunkach poczytności, poparte danymi statystycznymi.

W zakresie obchodzących nas tematów: czytelnictwa na wsi i wpływu okresu powojennego na stosunki czytelnicze, Bystroń, niestety nie wiele mówi. Wieś jest dla niego środowiskiem b. jednolitym kulturalnie, podatnym jedynie na przyjęcie utworów dydaktycznych i aforyzmów. Widzi wprawdzie że jednostki, które wróciły na wieś po poznaniu innych środowisk, mają inne potrzeby czytelnicze (poszukują innych gatunków literackich), to jednak nie przypisuje tej grupie specjalnego znaczenia. Co ważniejsze: Bystroń nie zauważył w okresie drugiej niepodległości intensywnego ruchu kulturalnego na wsi polskiej. Ten sposób traktowania środowiska wiejskiego przez jednego z największych polskich socjologów dowodzi, że istnieje uzasadniona potrzeba przeprowadzenia dokładnych badań na tym polu. Zresztą nie tylko na tym — inne środowiska nie zostały również pod tym kątem widzenia właściwie zanalizowane, książka Bystronia bowiem opiera się i korzysta prawie w całości ze studiów prowadzonych na zachodzie Europy.

Problem wpływu wojny na konsumcje literatury rozwinął Bystroń na podstawie obesrwacji z okresu wojny 1944—1918 r., stwierdzając, że po wojnie konsumentami literatury stają się ludzie nowi, którzy w jej wyniku zdobyli znaczenie lub majątek. Dawni, literacko wykształceni, konsumenci, schodzą na plan dalszy. Faktowi temu towarzyszy obniżenie się poziomu literatury i widowisk. Drugi problem stanowi dla Bystronia zmęczenie powojenne i wyższe niż w okresach pokoju zaabsorbowanie pracą, powodujące popyt na widowiska lekkie (rozwój music-hallu po pierwszej wojnie światowej). Jak więc widać i w tej sprawie niewiele aktualnie ważnych stwierdzeń przynosi nam książka Bystronia. Przyczyna tego zjawiska leży w bardzo specyficznych warunkach, jakie stworzyła ostatnia wojna, niepodobna do wszystkich innych wojen. W jej wyniku otrzymaliśmy dziedzictwo bez precedensu w historii, mające decydujący wpływ na kształtowanie się czytelnictwa w Polsce.

Do najbardziej ważnych należą: ruch wielkich mas ludzkich, które zmieniały wielokrotnie miejsce zamieszkania i kolosalne wyniszczenie. Odbudową materialnego stanu posiadania wraz z osiedleniem się w nowych najczęściej miejscowościach, na nowych placówkach pracy — to są problemy wielu milionów ludzi po wojnie. Bez przesady można stwierdzić, że co najmniej 50 proc. mieszkańców Polski musi je rozwiązywać. W ruchu tym wieś — mimo pozorów — ma największy udział (przesiedlenie, repatriacja i reforma rolna).

Zaabsorbowanie więc chłopów sprawami dnia — indywidualnym warsztatem pracy, jakim jest gospodarstwo — jest ogromne, przy czym warsztat ten absorbuje wszystkie siły chłopa. Panuje opinia, że chłop jest przede wszystkim robotnikiem fizycznym. Opinia w połowie conajmniej błędna, gdyż prowadzenie gospodarstwa wymaga nie małego wysiłku umysłowego, nie mniejszego niż wysiłek fizyczny. W okresie 1945—1946 chłop odbudowuje, buduje, lub prowadzi gospodarstwo w nowych, niepodobnych do poprzednich warunkach gospodarczych i społecznych, a te wymagają od niego wysiłków uwielokrotnionych. Nie jest dziwnym dla mnie, jeżeli chłop nie czyta. Bo rzeczywiście nie ma na czytanie czasu, a nawet siły. Zabsorbowanie sił umysłowych i fizycznych jest obecnie niesprzyjające rozwojowi czytelnictwa. W miarę normalizacji i zagospodarowywania zaabsorbowanie to zmniejszy się i wszystkie trzy omawiane grupy będą wykazywać większy niż w ciągu minionych dwu lat popyt na książkę.

Myślę, że najaktywniej objawi się dla sprawy czytelnictwa na wsi grupa środkowa, więc ludzie gdzieś od 25 do 40—45 lat. Stopniowa emancypancja tej grupy i uniezależnianie się materialne (po wojnie większość jej członków przejęła prowadzenie gospodarstw) przy poprzednio omówionych cechach predestynuje ją do odegrania i w sprawach kulturalnych decydującej roli w ciągu conajmniej 10 lat. Praca partii politycznych, ZSCh i „Wici" powoli wciągnie w krąg czytelnictwa również młodzież, a szkoła powszechna obecnie realizowana (której wieś wygląda z utęsknieniem), związać powinna z książką przyszłe roczniki swych absolwentów. O ile przed wojną absolwenci szkół powszechnych poszukiwali książki, było to przeważnie ich zasługą, jako jednostek wyjątkowych. Kontakt z książką utrzymywali absolwenci szkół wyżej zorganizowanych, uczniowie szkół rolniczych, członkowie różnego rodzaju organizacji, wychowankowie uniwersytetów ludowych. Po wojnie wyrobienie zamiłowania czytelniczego, sprawę związania młodzieży z książką rozwiązać musi szkoła powszechna. Nie wolno dopuścić, aby zadziergnięty w szkole kontakt z książką został później zerwany, bo doświadczenie lat minionych wykazuje, że młodzież odchodzi od książki na zawsze.

O GOSPODARCE SŁOWEM DRUKOWANYM

Rozwój czytelnictwa nie jest jednak wynikiem li tylko stanu kulturalnego środowiska, czy ruchliwości kulturalnej. Bezsprzecznie ma tu zasadnicze znaczenie polityka gospodarowania słowem pisanym, przez którą określam cały kompleks zagadnień, jak: czasopiśmiennictwo, polityka wydawnicza, kolportaż pism, broszur i książek, bibliotekarstwo, ceny książek itp.

Nie sposób omówić tu wszystkich wymienionych zagadnień wyczerpująco z punktu widzenia czytelnictwa na wsi.

Zacznijmy od gazety, która obecnie jest najtańszym i najbardziej rozpowszechnionym nośnikiem słowa pisanego. W porównaniu z okresem przedwojennym, wieś czyta gazet dość dużo, ale w porównaniu z miastem mało. Jeżeli odwoływać się do okresu przedwojennego, co jest rzeczą b. pożyteczną, to w tym względzie będziemy mieli ciekawe do zanotowania fakty. Najwięcej czytano na wsi „Mały Dziennik", bo był b. tani (5 gr.), „Gazetę Świąteczną", „Przewodnik Katolicki'", „Gazetę Grudziądzką", „Zielony Sztandar". Mniejszą pozycję stanowiły pisma rolnicze, oraz „Siew Młodej Wsi" i „Wici". Łatwo zauważyć, że ogromny odsetek stanowiły pisma

katolickie, inne były pismami ruchu ludowego — o wyraźnym nastawieniu opozycyjnym. Charakterystyczną cechą jest również prawie wyłączne panowanie tygodników, które — trzeba to przyznać — opracowane były graficznie i stylistycznie w odpowiedni dla wsi sposób.

Każdy tygodnik stanowił dla chłopa coś rodzaju „lektury". Było tam co czytać, t. zn. duże — na kolumnę lub dwie — odcinki powieściowe, nowele, reportaże z krajów pozaeuropejskich, przy silnym skrócie spraw polityczno - społeczno - gospodarczych. Taka gazeta do pewnego stopnia zastępowała książkę. O tym, jak powieść, nowela, reportaż, historyjka, przyciągały czytelnika na wsi, świadczy powodzenie, jakim cieszyły się wśród chłopów „Zorza" i „Naokoło świata", których numery spotyka się przechowywane i czytane obecnie. Nie chcę przez to powiedzieć, że prasa, czytana na wsi przed wojną, była taką, jaką być powinna, lub że obecna nie ma wartości. Wartość tę wyznaczyć można w inny sposób. Tu chodzi o poczytność. Sądzę, że z punktu widzenia poczytności obecny typ dziennika i tygodnika jest dla wsi nieciekawy. Przemówienia, referaty, rozprawy, „kwestie", wreszcie jakżeż często nieudolnie robiona propaganda, której chłop nie lubi pod żadną postacią — to są wady czasopism przeznaczonych na wieś. Pisma, które chcą zdobyć poczytność, powinny zrezygnować z lwiej części materiału dyskusyjnego. Nie dobrze jest również, że tylko parę pism dla wsi wydąwane jest bez stempla partii politycznej. W czasie nasilenia walk partyjnych, chłopi w swej masie zachowują się biernie, a środki polemiczne, stosowane w prasie, raczej wywołują u chłopów niesmak, toteż pisma, zaangażowane w tę walkę, z góry przesądzają o swej niepopularności.

Z tego punktu widzenia konieczna jest więc jak najrychlejsza rozbudowa czasopism dla wsi. Sądzę, że możnaby to zrobić kosztem pism miejskich, gdyż ambicje, że w każdym mieście wojewódzkim wszystkie partie muszą mieć swe organy codzienne — są niepoważne. Rozbudowa ta musi pójść w kierunku liczby i jakości. Szczególnie o tę drugą chodzi. Wsi nie można dawać zadrukowanej równo „płachty", ale bardzo precyzyjnie i artystycznie opracowaną całość. Będzie to w obecnych warunkach kosztowne, ale — na pewno opłaci się.

Jeżeli chodzi o broszury, to w tym względzie dużo mogłyby powiedzieć „Wici", które w ramach swej „Biblioteczki" wydały sporo materiałów do pracy oświatowej. O ile wiem, tomiki „Biblioteczki Wici" rozeszły się dobrze i dały nawet niezły dochód. Dobrze by było, gdyby instytucje wydawnicze poszły w ślady tego bezpretensjonalnego, pożytecznego i poszukiwanego wydawnictwa. Pozytywne osiągnięcie „Wici" w dziale broszury i tomiku zwalnia od dłuższego zajmowania się tą sprawą, toteż przechodzę do wydawnictw większych — do książek, których nic nie jest w stanie zastąpić. Jest dla mnie jasne, że brak czasu nie pozwoli dość długo zrównać się czytelnictwu na wsi z czytelnictwem w mieście (gdzie pracownik fizyczny również czyta b. mało), tym niemniej stan obecny można stopniowo zmieniać. Dlatego potrzeba przemyśleć, opracować, a następnie realizować długofalową politykę wydawniczą, mającą zdobycie czytelnika wiejskiego. Aby następnie plany te konsekwentnie rozwijać, wydaje mi się, że jest niezbędne stworzenie wielkiej — ogólnopolskiej chłopskiej spółdzielni wydawniczej, która by miała środki finansowe i techniczne na prowadzenie rozległej akcji wydawnictw, dostosowanych do potrzeb wsi. Jakkolwiek „Czytelnik", „Książka" i różne drobniejsze spółdzielnie wydawnicze ZSCh, SL i PSL mają niewątpliwie dużo dobrej woli w tym względzie, to jednak — wielkie spółdzielnie nie dość orientują się w sprawach czytelnictwa wiejskiego, przy czym mają dość pracy w uzupełnianiu sześcioletniej przerwy w działalności wydawniczej na terenie inteligenckim, naukowym — małe zaś rozporządzają śmiesznie małymi możliwościami i trudno im często wydać większą broszurę. Przy upaństwowionych drukarniach i przy państwowej gospodarce papierem nie wydaje się, aby ta sprawa miała być specjalnie trudna do realizacji, a rozpracowanie jej organizacyjne i finansowe jest względnie proste. Ponieważ jednak tej spółdzielni dotychczas nie ma, nie można jej brać w dalszych rozważaniach pod uwagę.

W istniejących warunkach wydaje się, że dla zdobycia czytelnika wiejskiego, należałoby przede wszystkim drukować tomy objętościowo niewielkie, które możnaby sprzedawać po cenach niskich. Materialne położenie wsi jest w tej chwili bardzo ciężkie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę zniszczenia rolnictwa w czasie wojny, setki nowopowstałych gospodarstw po reformie rolnej, które — i to zrozumiałe — muszą obrócić wszystkie siły finansowe przede wszystkim na zagospodarowanie swych działek; ogromny obszar Ziem Odzyskanych, gdzie chłop również każdy grosz (dosłownie) przeznacza na kompletowanie sprzężaju, narzędzi i inwentarza żywego — widać duże jest obecnie zaabsorbowanie finansowe chłopa i jak w tych warunkach trudno mówić o kupnie książki, która kosztuje 300, 400, czy więcej złotych.

To prawda, że cena książki w porównaniu z cenami artykułów rolniczych jest obecnie niższa niż przed wojną, ale przecież chłop może w tej chwili sprzedać znacznie mniej ziemiopłodów niż do 1939 r. Wiadomo bowiem, że wydajność w rolnictwie jest obecnie b. niska, a z tego znaczną część obraca chłop na odbudowę, czy inwestycje. Oczywiście, stan ten będzie się ciągle poprawiał i po 4—5 latach zmieni się na korzyść. Obecnie jednak cena książki odgrywa jeszcze dużą rolę i musi być w kalkulacji wydawców ustalana bardzo skrupulatnie.

Drugą niemniej ważną sprawą jest repertuar wydawnictw. Nie trzeba taić, że wieś w większości nie jest przygotowana do konsumpcji nowości literackich, toteż wydawnictwa powinny zająć się usilnie wznowieniami książek autorów, którzy przeszli do historii literatury. Byłoby w tej chwili zasadniczym błędem posuwać zbyt daleko rewizjonizm historyczno - literacki, gdyż więcej stracimy niż zyskamy. Książki Rodziewiczówny, Sienkiewicza, Żeromskiego, Orzeszkowej i Konopnickiej są najbardziej dostępne czytelnikowi na wsi, więc powinny być umiejętnie wydawane. I z pewnością wydawane obecnie powieści Sienkiewicza za kilka miesięcy, czy za rok znajdą się w domach wiejskich, a Dygata, Przybosia dopiero po dłuższym okresie czasu. Tej kolejności nie odwróci żadna polityka wydawnicza i w interesie wydawców — nie posiadających zbyt dużych funduszów — leży, aby do pewnego stopnia te naturalne tendencje czytelnicze uwzględnić i honorować.

Jako dalsze żądanie wysunąć należy zajęcie się literaturą popularyzacyjną. W tym kierunku obecnie bardzo mało się pracuje. Wiem z doświadczenia, jak wydawnictwa literatury popularnej, choćby na poziomie de Kruiff'a, bardzo chłopów interesują, bo zaspokajają głód wiadomości i „ciekawość świata". Zapotrzebowanie na ten rodzaj literatury istnieje zresztą nie tylko u chłopów, toteż należałoby się nim usilnie zająć, wskrzesić i rozbudować łącznie z wydawnictwami fachowo - rolnymi, na których terenie sporo zrobiły po wojnie małe spółdzielnie wydawnicze.

Nie są to — oczywiście — wszystkie sprawy, jakie ze stanowiska czytelnika wiejskiego, należałoby wysunąć pod adresem wydawnictw. To tylko najważniejsze.

Niemniej ważny kompleks zagadnień — jak wszystkie poprzednie — stanowi bibliotekarstwo. Można bez przesady przyznać mu rolę zasadniczą. Zaniedbanie tego działu pracy kulturalnej stanowi główną przyczynę braku książki na wsi i obecnego zastoju czytelnictwa. Nie wiem, jak wyglądają plany biblioteczne i sieć projektowanych bibliotek. Wiem natomiast, że na wieś dotychczas żadne biblioteki, nie dotarły. W czasie, gdy chłop nie jest w stanie — z różnych względów — książki kupić, biblioteki powinny mu ją dostarczyć. To jest ich dziejowa misja, której, jak dotąd nie realizują.

Tu rozpoczyna się temat, od którego rozpoczęliśmy nasze rozważania: „Jak dostarczyć słowo drukowane na wieś"? Odpowiedź przychodzi sama.

Pierwszym środkiem są biblioteki. Trzeba tylko tak je rozbudować, aby biblioteka znajdowała się w każdej gminie. Biblioteka gminna dostępna dla wszystkich, dobrze zaopatrzona w książki, czasopisma i broszury, jest niezbędną instytucją wiejską szczególnie w tym okresie pisma. Czy to ma być biblioteka stała, czy wędrowna, lub wymieniająca książki przeczytane z innymi bibliotekami w powiecie i zaopatrująca się w bibliotekach, rozbudowanych na stopniu powiatowym? Na początku wobec braku książek, będzie to z pewnością biblioteka wymienna, później może przemienić się w stałą. To jest mniej ważne. Jeżeli chodzi o fundusze to w pierwszych kilku latach muszą na ten cel pójść pokaźne dotacje państwowe, oraz samorządowe. Z biegiem lat biblioteki przejdą na utrzymanie samorządu powiatowego i gminnego, a może nawet staną się samowystarczalne.

Przy tej okazji trzeba wskazać na inne jeszcze sposoby popularyzacji i dostarczenia książki wsi, a więc wprowadzenie premiowania książki, obracanie zysków spółdzielni na biblioteki, względnie wypłatę dywidend w formie książek, wypuszczanie arkuszy powieści, nowel itp. przy tygodnikach, zastosowanie metod propagandy w sklepach spółdzielczych itp.

Niemniej ważną dla książek jak dla czasopism jest właściwa organizacja kolportażu. Zdaje mi się, że z wszystkich dotychczas stosowanych sposobów kolportowania pism i broszur jeden tylko nie zawiódł: prenumerata, ale ta ma również dużą niedogodność: obejmuje bowiem stosunkowo mały krąg ludzi. Rozwiązanie sprawy kolportażu jest bardzo ciężkie. Niewątpliwie najlepiej byłoby stworzyć specjalną instytucję spółdzielczą, któraby rozszerzyła dawną pracę „Ruchu". Instytucja kolportażowa przy odpowiedniej rozbudowie sieci swych placówek we wszystkich osadach i gminach wiejskich, przy dostatecznym zaopatrzeniu w samochody i motocykle (centrali, oddziałów wojewódzkich, filii powiatowych i punktów sprzedaży) mogłaby bezwzględnie podnieść „spożycie" słowa drukowanego na wsi.

Sądzę, że mogłaby ona doskonale wykorzystać listonoszów wiejskich (jako rozsprzedawców), sklepiki uczniowskie w szkołach wiejskich, a nawet sklepy spółdzielcze na wsiach. Najlepszymi współpracownikami instytucji kolportażowej byliby jednak bibliotekarze w gminach.

Nie sądzę, aby inne sposoby, a więc np. stosowane przez różne organizacje rozprowadzanie pism drogą organizacyjną dało konkretnie rezultaty. W ciągu prawie dwu lat powojennych każdy zainteresowany miał możność stwierdzić, że w powiatowych i gminnych komórkach organizacyjnych zebrały się stosy makulatury, która bywa zużywana dla celów nieczytelniczych. „Wypchnięcie" nakładu ze składów redakcji to jest właściwie początek życia słowa drukowanego. Ponieważ wiele pism uważa to również za koniec, zmarnowaliśmy tysiące ton papieru. W wyniku wiele pism nawet codziennych żyje z subwencji, wydawnictwa mają ogromne trudności finansowe, wsi zaś przy obecnym „zalewie" pism, brakuje nadal słowa pisanego.

Wypowiedź tę traktuję jako jeden głos w dyskusji, która — mam nadzieję — powinna rozwinąć się na poruszone przeze mnie i omówione szkicowo tematy. Są to sprawy tak ważne dla wsi, że zainteresują całą inteligencję wiejską i wielu rolników, których głos będzie bardzo cenny dla sprawy prowadzenia właściwej gospodarki słowem pisanym w Polsce.

Piotr Stanisław Ziarnik

Seweryn Skulski

Hoboes — zawodowe włóczęgostwo

Do dziś żyje w nas może zgoła fałszywe przekonanie, że Stany Zjednoczone to kraj wszelkich możliwości dla wszystkich, że milionerem nie jest tam tylko ten, kto nim zostać nie chce. Że emigrant będący dłuższe lata w Ameryce może mieć bez liku w Polsce ciotek, wujków, siostrzeńców i bratańców, a wszystkich równocześnie może zadowolić pomocą dolarową.

W miarę zaostrzania się walk klasowych, masowego uciekania farmerów do miast, bankrutowania i zwijania drobnych przedsiębiorstw w liczbie setek tysięcy, na skutek ataku karteli i ich wpływów na władze federalne, krajowe, stanowe i miejskie — kraj nie tak dawno jeszcze mlekiem i miodem płynący, przestaje być krajem wszelkich możliwości dla szarych ludzi.

Dziś nawet t. zw. Hoboes tracą grunt pod nogami — jakkolwiek nie byli nikomu potrzebni, ale i nikomu nie zawadzali, a nawet do czasu pierwszej wojny światowej mieli w narodzie amerykańskim jakby patent na istnienie; opowiadania z życia Hoboes, ich piosenki i ich typy miały nawet miejsce w literaturze amerykańskiej.

Co to właściwie jest Hoboes? To typ zawodowego włóczęgi amerykańskiego. Jeden to Hobo, a kilku lub wszyscy to Hoboes.

Nie należy sądzić, że amerykański Hobo — to opuszczony człowiek, wzgardzony, bez ambicji i reguł życia. Prawdą jest, że Hobo robi się człowiekiem nienawidzącym stałej pracy i obowiązków, a tym bardziej kogoś, kto mu rozkazuje. Amerykański włóczęga to człowiek naprawdę wolny. Nigdzie na długo miejsca nie zagrzeje, nic go nie zobowiązuje, nigdzie go do ksiąg ludności nie zapisują. Jego miejscem noclegów w lecie jest pusty wagon na torach kolejowych, rura kanalizacyjna i tanie w wielkich miastach „hotele", domy noclegowe, specjalnie dla nich przeznaczone po 10 centów za łóżko na dobę. Zimują w wielkich miastach przy obsługiwaniu w piwnicach pieców centralnego ogrzewania.

Hobo nikomu z reguły nic nie ukradnie. Nawet brzydzi się tego. Gdy który z nich ma opinię złodzieja, inni włóczędzy nim pogardzają. To również nie hobo, który na ulicy prosi dobrze ubranego przechodnia o kilka centów na kawę i kanapkę. Hoboes wstydzą się żebraniny. Gdy są głodni, pukają do tylnych drzwi domu, gdzie zazwyczaj jest kuchnia, i odstąpiwszy wstecz parę kroków czekają aż ktoś wyjdzie. Na dworze jedzenia nie przyjmują — trzeba ich zaprosić do kuchni.

I pracą nie gardzą, ale tylko wtedy się jej chwytają, gdy spada z nogi ostatni strzęp buta lub gdy ciało świeci golizną.

Nikt nie jest tak serdeczny, towarzyski i szczery w swoim gronie jak oni. Czy to wędlina, czy chleb lub napitek musi być w całości rozdzielony każdemu. Nawet, gdy który ma w kieszeni kilka dolarów, nie zatai ich przed innymi. Nie liczą się nigdy z potrzebami dnia jutrzejszego.

Czasem, gdzieś koło torów kolejowych za miastem w zaroślach lub dołach widać unoszący się dym. To Hoboes gotują sobie strawę w puszkach od konserw znalezionych na śmietnikach. Gdybyście przypadkiem zbliżyli się do nich, a nie zechcieli razem z nimi spożyć prymitywnej ich strawy — będą na was źli. Posądzą was o pogardzanie nimi.

Jedną tradycję zachowują głęboko. Kłamią na potęgę. Posłuchajcie ich długich opowiadań o własnym życiu. Wynika z nich, jakoby opowiadający byli Tarzanami, Robinsonami lub Jonaszami. Prawdą jest, że Hobo nocował w wielu aresztach policyjnych, był często głodny, i jeżeli nie wyrzucił strażnika kolejowego z wagonu, to sam skakał na nasyp lub do wody. Prawdą jest, że nie tylko odwagi, ale i umiejętności trzeba, aby rano wleźć pod wagon szybkiego Pensylwańskiego pociągu „Twentieth Century", by wieczorem znaleźć się w Chicago. Prawdą jest, że Hoboes nigdy w konflikt z klasą pracującą nie wchodzą i nie są nigdy łamistrajkami. Nieprawdą jest jednak, że każdy z nich był milionerem lub za bliską przyjaciółkę miał tę czy inną gwiazdę filmową. W rozmowach jednak Hobo wylicza posiadane przez siebie miliony i rzuca nazwiskami swych niby przyjaciół, właścicieli olbrzymich fortun.

Hoboes znają każdą miejscowość w każdym kraju. Wiedzą, kiedy dojrzewają brzoskwinie w Kalifornii, kiedy są żniwa w Kansas, kiedy połów ryb koło brzegów Maine i kiedy przypadnie zapotrzebowanie na robotników leśnych w Oregonie, kiedy ziemniaczany stan Wisconsin rozpoczyna kopanie. Jeżdżą na te sezonowe roboty, aby parę dni popracować i potem porządnie wypić.

Posłuchajcie ich. Dyskutują na tematy społeczne — wiedzą, co to za pisarz jest Upton Sinclair, dlaczego na krześle elektrycznym zginęli Sacco i Vanzetti

Mają swoje zebrania przed wyborami. Ich „Wódz" w jednym kamaszu kobiecym a w drugim męskim, z krawatem związanym na gołej szyi, z dziurą w spodniach zawiązaną drutem opowiada im, kto winien być wybrany nie tylko do zarządu Hoboes, ale kto nawet winien mieszkać w Białym Domu.

Instytucja Hoboes chyli się dziś już ku upadkowi. W walce klas, o prawa krajowe, stanowe i miejskie, przez pilne trzebienie włóczęgostwa na kolei, Hoboes powoli nikną. Dwie wojny światowe prawem: „pracuj lub walcz" wyszczerbiły bardzo szeregi Hoboes. Przyjdzie czas, że pozostaną oni tylko w literaturze.

(Autor niniejszego artykułu jest reemigrantem z Ameryki — Red.)

Stefan Lichański

DWAJ POECI

Stanisław Ryszard Dobrowolski: Pióro na wichrze, utwory wybrane, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza", Warszawa, 1946, str. 165 + 3 n.

Zbiorowy tom Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego pozwala nam zorientować się w całokształcie dorobku poetyckiego autora i umożliwia jako tako dokładne określenie jego osobowości pisarskiej. A osobowość to bardzo ciekawa i bardzo charakterystyczna dla czasów międzywojennego dwudziestolecia.

Zarysowują się w jej działaniu trzy nurty, trzy tendencje, pozornie bardzo sobie obce i rozbieżne, a jednak w poezji Dobrowolskiego często współdziałające ze sobą. Pierwsza z nich — to tendencja do poetyzacji i apoteozy własnej anarchiczno-sobiepańskiej młodości z jej wszystkimi naiwnymi, studenckimi „szaleństwami", — jakaś wtórna faza skamandryckiego witalizmu, o ograniczonym już bardzo zasięgu, witalizmu wyładowującego się niemal wyłącznie w ekscesach knajpianych i po-knajpianych. Druga — to tendencja rewolucyjna, wypowiadająca się stylem i językiem przypominającym niemiecką poezję wolnościową z połowy XIX wieku (Herweg, Freiligrat). Trzecia wreszcie tendencja charakterystyczna dla Dobrowolskiego — to skłonności stylizatorskie.

Najwcześniej przychodzi do głosu tendencja pierwsza: młodzieńcze wiersze poety naładowane są sowizdrzalskim wigorem, przeciążone materiałem spraw i stanów psychicznych bardzo prymitywnych, są one do dziś żywe, pełne temperamentu i ujmujące, ale nie wznoszą się ponad poziom udatnej igraszki poetyckiej. Operując dużym zasobem pisarskich umiejętności technicznych, przerzucając się od liryzmu do groteski, od sentymentalizmu do rubasznego humoru w stylu staropolskim, daje w tych wierszach Dobrowolski zapowiedź dużej miary talentu, ale nie wpisuje w nie żadnej wyraźnej postawy światopoglądowej, żadnego ważkiego materiału myślowego.

Odbija się w tych wierszach sytuacja młodzieży, która zaczynała brać czynny udział w życiu u schyłku lat dwudziestych, kiedy jeszcze kryzys nie dał się we znaki a faszyzacja systemu sanacyjnego była w swojej fazie wstępnej, kiedy jednak dawała się już odczuć blaga i dętość „oficjalnej" polskiej rzeczywistości. Rzeczywistość nie przygniatała jeszcze tak mocno, żeby prowokować do czynnej negacji (zwłaszcza jeżeli chodzi o młodzież nie zżytą bezpośrednio z tradycjami Polski przedmajowej), ale zawierała dostateczną dozę nonsensu i koszmaru, żeby ruchem zupełnie naturalnym było odwrócenie się do niej plecami.

Ale faza naiwnego, pozaintelektualnego upajania się sobą, światem i własnym talentem mija szybko. Przychodzi okres, kiedy trzeba zająć jakieś stanowisko wobec rzeczywistości, opowiedzieć się za jakimś określonym światopoglądem. Pokolenie Dobrowolskiego przynosiło ze sobą spadek ideologiczny okresu Młodej Polski, spadek, o którego ważności zapewniała i szkoła średnia i te kręgi postępowego odłamu inteligencji, z którymi młodzi mogli się zetknąć bliżej, a które dorastały w okresie przedwojennym lub wojennym. Równocześnie działała tradycja gwałtownych walk literackich o nowy styl, o nowe formy wyrazu, walk, których największe nasilenie przypadało u nas, mniej więcej na lata 1919—1925. Stylizatorskie zapędy Dobrowolskiego i innych pisarzy jego pokolenia są szukaniem jednocześnie i metod wypowiedzi i bazy ideologicznej. Kiedy na początku swojej kariery pisarskiej Dobrowolski usiłuje naśladować (bardzo zresztą powierzchownie) Villona, kiedy później (w wierszach obecnego cyklu „Romantycznie") osiąga niebylejaką sprawność techniczną i wysokie opanowanie formy, dając szereg utworów bardzo sugestywnych i o dużej kulturze poetyckiej („Pieśń o kalinie", norwidowski apokryf „Św. Cecylia", Noc na zamku w Czorsztynie", „Rozmowa z cieniem" i inne), ulega sugestiom czystej literackości, owego swoistego „formizmu" polskiego, o którym wiele i szeroko pisał Irzykowski, jako o jednej z głównych plag naszego życia kulturalnego.

Inny zupełnie charakter mają próby podjęcia stylu Heinego czy Norwida. Pierwszy z nich jest dla Dobrowolskiego ważny przede wszystkim jako satyryk, jako poeta zaciekłej, drapieżnej inwektywy społecznej drugi — jako źródło mocnej i poważnie rozbudowanej ideologii filozoficznej. Faza terminowania u Norwida (cykl „Nad Norwidem") jest w twórczości Dobrowolskiego okresem zupełnego zabłąkania się poetyckiego. Intelektualistyczna poezja Norwida nie mogła stać się źródłem twórczej inspiracji dla żywiołowego poety spontanicznych reakcji uczuciowych, jakim jest Dobrowolski, tak samo jak niepodobna było mu przyswoić sobie subtelnej, intelektualnej ironii Heinego. Rzecz zupełnie zrozumiała u poety, którego humor jest jakby kontynuacją tradycji Reja i Potockiego, a poezja społeczna — kontynuacją romantycznej liryki rewolucyjnej.

Akcenty społecznego protestu brzmią już w bardzo wczesnych wierszach Dobrowolskiego, ale początkowo krępują ich rozmach i polot tendencje stylizatorskie poety, tendencje, które zresztą dochodzą do głosu nawet w ostatnim, tytułowym cyklu książki. Te jednak sprawy, te troski wywiodły poetę poza anarchiczne sowizdrzalstwo i poza stylizatorstwo, z pasji społecznego buntu powstał jego najważniejszy i najcenniejszy utwór „Powrót na Powiśle". Są w tym poemacie fragmenty przestylizowane i dlatego wątpliwe („Ballada kowali"), ale są i fragmenty zarówno liryczne (jak np. „Wisła — stal") jak i epickie (np. opis demonstracji robotniczej zaczynający się od słów: „Jak wyrazić ten obraz?") piękne i naturalne mimo swej patetyczności.

Zupełnie chaotyczne splątanie się ambicji stylizatorskich i społecznych z powracającym nagle zrywem sympatii do buńczucznej, lekkomyślnej i anarchicznej donkiszoterii, pod której urokami znajdował się poeta w młodości, zrodziło poemat „Janosik z Tarchowej", utwór — pomimo niewątpliwej piękności poszczególnych fragmentów — raczej wątpliwy zarówno artystycznie jak i ideologicznie.

Dobrowolski nie jest poetą równym, można spodziewać się po nim niespodzianek zarówno bardzo miłych jak i bardzo przykrych. Struktura intelektualna jego poezji jest raczej wątła, ale też siłą tej liryki jest przede wszystkim jej bezpośredniość, szczera, ludzka pasja oraz żywa uczuciowość, czuły, serdeczny, choć czasem „chandrą" i sentymentalizmem zatrącający liryzm.

„Pióro na wichrze" ma prócz tego wagę dokumentu: znalazły w nim swe żywe odbicie tragedia i kryzysy duchowe pokolenia, które przyszło w momencie, gdy „rząd dusz" zagarnęli albo Skamandryci albo Awangarda, gdy było w Polsce bardzo „laurowo i ciemno" i trudno było znaleźć właściwą drogę — drogę zarówno dla pisarza jak i dla człowieka.

Seweryn Pollak: Godzina życia, poezje, „Książka", 1946, str. 64.

Co właściwie znaczy powiedzenie takie jak np.: „X. jest poetą z urodzenia?" Sądzę, że mniej więcej to samo, co powiedzenie: „Y. jest uczciwym człowiekiem", gdyż obie te wypowiedzi są niezbyt jasne wskutek użycia terminów o treści chwiejnej i bliżej nieoznaczonej. Nie wiemy tedy, czy w ogóle można posłużyć się w jakimś wypadku w sposób dorzeczny terminem „prawdziwy poeta", ale tym nie mniej terminem tym posługujemy się, i to nie tylko w rozmowach towarzyskich.

Nie mam zamiaru snuć rozważań na temat poetów „prawdziwych" i „nieprawdziwych", gdyż wydaje mi się to zagadnienie dość bałamutne, a — z praktycznego punktu widzenia rzecz biorąc — dla krytyka literackiego zgoła obojętne. Bo cóż krytyka obchodzi, że ktoś pisuje wyłącznie „w natchnieniu", „z serca", „żywą krwią" i t. p., skoro z tego pisania wychodzą bzdury. Będzie on wyżej cenił tego, kto załatwia te sprawy bardzo prozaicznie przy pomocy zwykłego pióra i atramentu, obliczając sobie nawet przytem „w duszy", ile dostanie honorarium i czy w przyszłą środę napewno będzie mógł podjąć pieniądze, skoro ten „ktoś" pisze ładnie, składnie i dorzecznie.

Czytając tom Pollaka stale mam wrażenie, że studiuję utwory człowieka, któremu pewnego dnia przyszło do głowy: „a gdybym ja tak spróbował pisać wiersze?" Nauczyć się pisania wierszy nie jest chyba trudniej niż nauczyć się pisania na maszynie. (Chodzi mi tu oczywiście wyłącznie o opanowanie umiejętności czysto technicznych, jak np. rytmika, rymowanie, budowa stroficzna i t. p.). Ale gdy po opanowaniu zasadniczej wiedzy o działaniu „Remingtona" cała sprawa streszcza się do nabierania coraz większej wprawy w posługiwaniu się maszyną, dla poety trudności dopiero się zaczynają. Okazuje się, że materiał językowy to nie szereg martwych klawiszów, w które można uderzać zupełnie dowolnie. Jeden umie z tego materiału kształtować arcydzieła, inny ciągle kleci niedołężne cudactwa.

Jeżeli chodzi o Pollaka, to cudactwa zdarzają mu się bardzo rzadko („Drogę przegrodził las — I dalej prowadzi droga — Skąd znowu jeszcze ten kwas? — Dlaczegoś taka wroga?"), ale na arcydzieło nie ma nawet zapowiedzi.

Porównanie pracy pisarskiej z pisaniem na maszynie nasunęło mi się wcale nie przypadkowo, narzuciła mi je lektura wierszy Pollaka. Są one pisane tak, jakby dla autora istota rzeczy leżała właśnie w sztuczkach czysto technicznych: w wymyślnej rytmice, w kunsztownym rymowaniu, w szpikowaniu wiersza metaforami. Ani na chwilę nie opuszcza nas przy lekturze tomu wrażenie, że autor pisał te wiersze jedynie dla wypróbowania w praktyce skuteczności metod i „chwytów", z którymi zapoznał się za pośrednictwem rozmaitych poetyk i teorii literatury.

Prócz tego równie nieustępliwe wrażenie, że czytamy raz po raz tłumaczenia z poetów rosyjskich. Nie ma tu mowy o plagiacie, chodzi o coś bardziej zdradzieckiego: o bezwolne poddanie się cudzej manierze stylistycznej. (Przykładem może tu być choćby wiersz bez tytułu zaczynający się od słów „Gdy miejski zmrok", a przywodzący na myśl najgorsze tradycje rosyjskiego symbolizmu).

Kiedy Pollak próbuje uciec od powtarzania cudzych motywów i napisać jakąś prawdziwą, szczerze ludzką „spowiedź duszy", zamknąć w utwór literacki swoją filozofię życiową — daje w rezultacie sążnistą orację pełną rymowanej prozy („List do przyjaciela"), rzecz wprost chemicznie wypraną z poezji, a ozdobioną tego rodzaju „złotymi myślami": „Nie wzdycha czas w gęstwinie ciemnych liści, — gdy żar po różach przejdzie ciężką stopą" lub:

Jakże się wymknąć z łańcuchów historii,
Kiedy nie grając, każdy jest aktorem,
Gdy wypaść z roli — lepiej próżne spory
Z powodzią toczyć...

Tego rodzaju rewelacje łatwiej stanowczo czyta się pisane zwykłą, poczciwą prozą w artykułach wstępnych gazet.

Nie wiem, czy Pollaka należy uznać za poetę „prawdziwego" czy nie, ale wydaje mi się, że trzeba mu przyznać jedno: utrzymanie się naogół na poziomie dobrego i starannego rzemieślnictwa poetyckiego (przykładem może być w tym wypadku cały niemal cykl „Granice nocy", „Ballada o niemieckim lotniku", „Noc fanatyczna", „Dickens" i in.) Najlepiej wypadają u Pollaka te wiersze, które albo są osnuwane na gotowych motywach literackich („Dickens"), albo w których sprawą najważniejszą jest wirtuozeria techniczna („Słowik" z „Granic nocy"). Ponieważ u nas stale jeszcze panuje przewaga tendencji „natchnieniowych", „bezpośredniościowych", taką robotę poetycką, jaką uprawia Pollak, należy uznać za celową i pożyteczną. Udowodnić, że wiersz można zrobić tak samo — jak np. szafę! Bez natchnień i bez używania do tego celu t. zw. „krwi serdecznej". To wcale nie głupi pomysł! Sugestywność wierszy Pollaka osłabia co prawda typowa dla nich wtórność, literackość inspiracji, tym nie mniej jako eksperyment, jako próba poezji intelektualistycznej są one niewątpliwie interesujące.

Rozmyślania nad techniką

W pierwszych trzech dniach tego miesiąca radził w Katowicach Kongres Techników Polskich. Osnową obrad był narodowy plan gospodarczy. Zapadły uchwały dla całego państwa, nie obojętne dla chłopa polskiego. Rozważano też rozliczne możliwości i sposoby odbudowy wsi. Mówiono o jej przebudowie technicznej.

Ilekroć przemawia ktokolwiek albo pisze o technice w związku ze wsią polską, tylekroć kołaczą mi się zaraz po głowie słowa pewnej smutnej rosyjskiej piosenki, w której „burłak" jakiś skarży się, że anglik to mędrzec, bo pracują nań maszyny a on, „ruskij muzyk", musi wszystko robić tylko „dubinu", to jest zaledwie przy pomocy drewnianego drąga. Takie refleksje miewał chłop niedawnej rosyjskiej przeszłości. A co myśli sobie na ten temat chłop polski?

Myśli sobie otóż, że niejednokrotnie trzeba mieć kierat, żniwiarkę, wiązarkę, elektryczność w mieszkaniu i obejściu, traktorek. Dobrze by to było mieć, ale niekoniecznie. Trzeba za to mieć konia, choćby jednego, pług, byle cały, bronę, lepiej nie drewnianą, kosę, parę sierpów, parę motyk i... to właściwie wszystko, i to od biedy wystarczy. Są kraje, a są i u nas nawet takie strony, że ludzie mają wszystko, co trzeba i nie trzeba. Orze za nich i sieje maszyna, w butach chodzą świątek i piątek, przez cały rok, nie sypiają latem w stodole, zimą w oborze, ale w mieszkaniu, na łóżku. U nas też tak kiedyś będzie. Na razie jednak nie jest i nie ma o czym wiele myśleć.

W obytej z techniką części naszego społeczeństwa kołacze się tu i ówdzie pogląd, że chłop polski nie ma w ogóle podziwu dla maszyny, odczuwając do niej coś w rodzaju wstrętu. Jest on bowiem „wolnym twórcą chleba" i boi się nade wszystko „pańszczyzny industrializmu". Ilustracją i dowodem na poparcie słuszności tego poglądu są różne anegdoty, w rodzaju tych z chłopcami wiejskimi, co to rzucają po szosach i gościńcach gwoździe oraz tłuczone szkło pod przejeżdżające rowery i samochody. Głosi się też, że praca chłopa i jego rodziny, przy całkowitej nieopłacalności, opiera się w największej mierze na umiłowaniu ziemi wraz z odziedziczonymi po ojcach środkami jej uprawy.

Można więc kochać konia, pług jednoskibowy, no powiedzmy jeszcze firmowy drapak-sprężynowiec. Ale jak można kochać traktor? Traktor! Brrr!....

Dziwnie przy tym się składa, że ci wszyscy, co chcą wciąż widzieć „kmiecia" w polskim chłopie, nie mogą zauważyć jego podziwu właśnie dla techniki i jego odwiecznego znużenia oraz znudzenia prymitywizmem pracy i życia na wsi. A ileż na to dowodów, ile przykładów. Weźmy choćby lokomobilę, dworską do niedawna, i klechdy o jej maszyniście, który pokłóciwszy się z rządcą tak ją niewidocznie uszkodził, że nawet specjalnie sprowadzeni, zagraniczni inżynierowie nic nie mogli poradzić. Musiał wreszcie pan — chciał nie chciał — ugłaskać obrażonego parobka-technika, żeby lokomobila ruszyła. I ruszyła zaraz...

A czym jest chłopski podziw dla organów kościelnych, dla radia, dla gramofonu, dla zegarka. Czym jest w wiosce szacunek dla kowala wędrownego majstra - klepki. Czym na ostatek, złośliwe nieraz, zainteresowanie dzieci wiejskich samochodem, co na chwilę we wsi się zatrzymał?

Chciałby przecież chłop żyć jakoś, jak człowiek, lecz wedle stawu grobla. Chciałby pracować lżej, krócej, wydatniej. Wie też dobrze, co można zdziałać „dębiną" a co maszyną. Zegarka zaś, gdy go ma, nie nosi wcale za cholewą.

Zadziwiające są także tęsknoty kobiet wiejskich do technicznego polepszenia ich gospodarstw domowych. Wiedzą one o wszystkich przedmiotach, czyniących życie lżejszym i milszym niewiastom na szerokim świecie. Wiedzą o nich z wieści tylko, bez zwiedzania wystaw i bez przeglądania prospektów. I nie uważają bynajmniej za dobry zwyczaj faktu, że pierwej się gotuje wieprzkom i kurom a później dopiero sobie, mężowi i dzieciom. Tylko że teraz, w tych warunkach, inaczej nie można. A nie można naprawdę, skoro nieraz kuchnia z okapem i z dwoma fajerkami jest i tak już ulepszeniem, nie zbyt dawnym zresztą.

Trzyletni plan gospodarczy na lata 1947—1949 w dziedzinie technicznej odbudowy i przebudowy wsi polskiej nie stworzy jednak, rzecz oczywista, ostatecznego polepszenia egzystencji wiejskiej pod względem technicznym. Postęp jednak rozwija się często ponad plan, o ile go się pragnie i o ile nie rzuca mu się kłód na drodze, bezwiednie nieraz, w imię mętnych ideologii.

Płonna też jest obawa, że rozwój techniczny wsi uczyni „wolnego kmiecia" niewolnikiem maszyny, za jakiego się ma robotnika przemysłu.

Fal.

Wystawa „Książka Ziem Odzyskanych"

Dla rozwinięcia czytelnictwa na Ziemiach Odzyskanych zrobiono dotąd jeszcze bardzo niewiele. Książka polska jest dla osadników na terenach włączonych do Polski rzeczą bardzo pożądaną i rzadką. Ubogie są biblioteki publiczne, ubogie księgozbiory prywatne. Akcja wydawania książek przeznaczonych specjalnie dla bibliotek na Ziemiach Odzyskanych, a więc książek tanich i o wartościowej treści, powinna stać się jednym z najważniejszych i najpilniejszych zadań kulturalnych w pracy dla Ziem Odzyskanych.

Równie ważne i pilne zadanie stanowi wydawanie książek o Ziemiach Odzyskanych. Popularyzacja zagadnień zachodnich w społeczeństwie całej Polski jest sprawą o doniosłości państwowej.

Aby dać przegląd dokonań na polu wydawnictw książkowych zarówno „dla", jak i „o" Ziemiach Zachodnich, a przy okazji tego przeglądu zintensyfikować pracę na tych odcinkach, Zachodni Komitet Dziennikarski inicjuje wystawę pod nazwą „Książka Ziem Odzyskanych". Wystawa odbędzie się jednocześnie w 10 największych miastach Polski w jednakowym układzie eksponatów. W wystawie mogą wziąć udział wszystkie instytucje i firmy wydawnicze, które w swoim dorobku mają:

1) książki wydane dla Ziem Odzyskanych;

2) książki poświęcone zagadnieniom Ziem Odzyskanych;

3) książki niemcoznawcze (Niemcy dzisiejsze, okupacja, dzieje Niemiec);

4) mapy, afisze, fotografie dotyczące zagadnień zachodnich.

Termin wystawy projektowany jest na styczeń 1947 r. Wszelkich informacji udziela — Wydział Wykonawczy Zachodniego Komitetu Dziennikarzy — Poznań, Chełmońskiego 1, ZAP.

FAKTY i ZDANIA

ATOMOWE I INNE STRASZAKI

„Dziennik Łódzki" z 3 grudnia b. r. zamieszcza sprawozdanie z dyskusji komisji politycznej O. N. Z. prowadzonej na temat sowieckiej propozycji powszechnego rozbrojenia. W toku owej dyskuji zabrał głos delegat brytyjski sir Shawcross, który w swoim przemówieniu zwrócił uwagę, że nie należy przeceniać znaczenia bomby atomowej. Oświadczył on wprost:

„Są jeszcze inne, nawet straszliwsze środki zniszczenia, których nie wymieniono w tej komisji, ale których istnienie nie jest nieznane".

(Słowa delegata brytyjskiego cytujemy według tekstu podanego przez „Dziennik Łódzki").

Sir Shawcross odmówił przedstawicielowi agencji Reutera bliższych wyjaśnień na temat owych tajemniczych broni, ale podkreślił mocno, — cytujemy znów „Dziennik Łódzki" —,

że w obecnym czasie odbywają się studia które mogą odsunąć bombę jako broń na drugi plan.

„Środki bakteriologiczne stanowią tu tylko jedną stronę zagadnienia", czytamy w dalszych wynurzeniach sir Shawcrossa. Niewiadomo dokładnie, ile stron ma owo miłe „zagadnienie", ale należy się domyślać, że jest ich sporo, aczkolwiek delegat brytyjski przemawiał w sposób równie ciemny i zagadkowy jak wyrocznia delficka lub awangardowy poeta.

Dla naszych amatorów „trzeciej wojny" jest to niby z jednej strony pociecha, jako że może polskie miasta i wsie będzie zmiatać z powierzchni ziemi i będzie dziesiątkować polską ludność broń daleko straszniejsza i skuteczniejsza niż bomba atomowa, ale i powód do zmartwienia też dosyć poważny. Przywykli już bowiem nasi „patrioci na trzy nie" (potrójni patrioci) modlić się o zbawienie do bomby atomowej, a tu — masz babo placek! — już to bóstwo znalazło się na drugim planie ustępując miejsca jakiejś nowej tajemniczej „broni X".

A my, spokojni i pogodzeni z rzeczywistością ludzie, życzymy sobie, żeby przynajmniej w okresie przedświątecznym przestano nas straszyć tajemniczymi broniami, trzecią wojną i innymi okropnościami. Dlatego też dziwimy się nieco, że skoro sir Shawcross wie coś konkretnego o fabrykowaniu nowych narzędzi zniszczenia, dlaczego poprzestaje na arcydyplomatycznych napomknieniach i nie mówi wyraźnie o co i o kogo chodzi. A jeżeli dokładnie nie wie w czym rzecz, to poco straszy ludzi?

Poco? Bo na Bikini urządzono z wielkim nakładem kosztów i wysiłku rewelacyjne przedstawienie z bombą atomową, którego jedynym konkretnym rezultatem była — jak pisano w gazetach — „olbrzymia chmura dymu w kształcie kolosalnego grzyba". Tamten dym rozwiał się już dawno, więc trzeba puścić na świat trochę nowego, żeby utrzymywać nadal ludzkość w niepokoju i napięciu nerwowym.

W czyim interesie puszcza się w świat te „strachy na lachy" — wiemy dobrze. I właśnie dlatego, że wiemy, nie boimy się tak bardzo. **a. p.**

SŁUPY CHROBREGO

Legenda o słupach Chobrego wbijanych w rzeki graniczne państwa piastowskiego jest jednym z jasnych i pięknych wspomnień, jakie zachowaliśmy jeszcze z czasów szkoły powszechnej. Jesteśmy szczęśliwi, że dzisiaj możemy uczestniczyć w wydarzeniach podobnych tamtym wielkim dniom. Mówi się wprawdzie: historia nie powtarza się. Lecz patrząc na dzisiejsze granice Polski trudno oprzeć się pewnemu wzruszeniu. Wszak powróciliśmy tam, gdzieśmy byli. Lecz nie tylko odzyskaliśmy nasze ziemie, co ważniejsze odzyskaliśmy naszą myśl polityczną. Układ sił w dzisiejszej Europie wskazuje, że tym razem ziemie odrzańskie zostaną nasze na zawsze. Nad rzekami granicznemi umacniamy się już nie słupami żelaznymi. Są inne sposoby, żeby ta ziemia stała się nam tak droga jak ziemia nad Wisłą i pod Lublinem. Jak prasa donosi w ostatnich dniach dokonano w Szczecinie otwarcia wyższej uczelni o charakterze ekonomiczno handlowym. Jest to już po szkole Inżynieryjnej druga wyższa uczelnia typu akademickiego w tym najważniejszym naszym mieście i porcie na Zachodzie. Warto jest, aby się nad tym głębiej zastanowić i... podnieść na duchu. **t. p.**

„ROMANTYCZNA PIONIERKA" NA DOLNYM ŚLĄSKU

Stała lektura pism dolnośląskich doprowadza do ciekawych wniosków. Oto pokłosie jednego numeru „Pioniera".

Pod dużym tytułem: „ZE STOPNIA POD WAGON", czytamy znacznie już mniejszymi literami: „Całe szczęście, że nie pod koła". A oto treść tej sensacji dziennikarskiej:

„Onegdaj miał miejsce wypadek, który jakimś cudem zakończył się szczęśliwie.

Oto na stacji w Dzierżoniowie znajdował się transport repatriantów. Część repatriantów wyszła z wagonów, licząc się z dłuższym zatrzymaniem pociągu. Pociąg niespodziewanie ruszył, wobec czego wszyscy rzucili się do wagonów. Jeden z repatriantów niezręcznie wypadł ze stopnia i wpadł pod wagon. Liczna publiczność obserwowała z przerażeniem wypadek. Cudownym trafem udało się owemu repatriantowi przedostać między kołami spod wagonu, dzięki niezbyt wielkiej szybkości jazdy pociągu.

Repatriant uległ jedynie lekkim potłuczeniom i zadraśnięciom."

Inny artykulik donosi wielkimi literami:

„SAMOCHÓD NA CHODNIKU!"

„W dniu wczorajszym miał miejsce wypadek samochodowy, który na szczęście nie pociągnął za sobą ofiar.

Ciężarowe auto przy ul. Daszyńskiego najechało na słup telegraficzny na chodniku. Szofer zdołał uniknąć uderzenia. Na chodniku — na szczęście nie było nikogo. Jedynie auto zostało uszkodzone, zaś przewody telegraficzne zniszczone."

Takich wiadomości, przypominających spowiedź niewinnego dziecięcia, wyznającego księdzu jako grzechy, że „nadeptało niedźwiadka", „muchę zabiło", jest w każdym numerze dosyć. A jeszcze zajmujący całe szpalty naiwny spór między klubami sportowymi, które na gościnnych występach obraziły się lekkomyślnymi zwrotami, teraz tłumaczą się gęsto i rozwlekle, itd., itd.

Tak wygląda dzień Dolnego Śląska, owej ziemi przygód, naszego Dzikiego Zachodu, naszego Eldorado. Spokojna, zamożna prowincja, zajęta nader błahymi sprawami życia codziennego.. I poco było tyle romantycznego patosu wkładać w „pionierkę na Dolnym Śląsku", że aż ludzie wybierali się z pacierzem, z czynem ostatecznym niby do Ameryki, przygotowani na życie w szałasach i gotowi „twardo cierpieć". Oglądałem wspaniałe urządzenia w uzdrowiskach dolnośląskich, gdzie w każdym domu płynie woda z kranu, elektryczna lampa świeci, nierzadko lodowa maszynka, automat do obierania kartofli, drylowania owoców i inne cuda; wszystko z niklu, gotowe na usług, pomagające w czynności domowej czy gospodarskiej od jednego ruchu. I taki dom nazywa się... „PIONIER". Na Dolnym Śląsku co druga willa nazywa się „PIONIER". I poco to u licha, gdy powinna się nazywać „SYBARYTA" lub „WYGODA", lub „ŚWIĘTY SPOKÓJ". Tymczasem w spaleniskach Sandomierszczyzny, w gruzach Warszawy siedzą prawdziwi męczennicy życia codziennego, prawdziwi PIONIERZY, i prowadzą rozmowy: „Nie, proszę was, na Zachód nie pojadę; zbyt jestem wyczerpany wojną, żeby się jeszcze mordować gdzieś tam na pionierce." Tak wyglądają sukcesy naszej romantycznej propagandy. **zk.**

SYMBOL SZACUNKU I KULTURY

Do niedawna na uniwersytecie w Oxfordzie synowie i córki zamożnych Anglików spędzali 3 a nawet 4 lata „na kończeniu studiów" ucząc się sztuki obycia towarzyskiego. Była to oczywiście przesada i dziś już wyszła z mody.

W naszych obecnych warunkach wystarczy jeśli ogół zwłaszcza ludności wiejskiej posiadać będzie elementarne pojęcie t. zw. obycia towarzyskiego. Dać to powinna każda szkoła jeżeli potrafi znaleźć w programie nauczania kilkanaście minut na powyższy temat przynajmniej w starszych klasach.

Jest to przecież rzecz tak potrzebna a tak bagatelizowana jak po dzień dzisiejszy uprawianie sportu na wsi. I tak jak tylko przez szkołę sport może się rozpowszechnić na wsi, tak przez szkołę nauka kulturalnego obcowania z ludźmi może dać dobre wyniki.

Tymczasem dotąd z oburzeniem patrzymy na starszych i młodszych obywateli siedzących tak często w mieszkaniu w czapkach i kapeluszach. Oczywiście bodaj największą winę ponosi tu gospodyni domu, która nie zwraca na to żadnej uwagi. Jakże znów często przy powitaniu na wsi nie jeden starszy a nawet jeszcze młokos nie wiadomo dlaczego nie wita się z kobietą — poprostu ją omija. Wygląda to na lekkomyślne niedocenianie i lekceważenie kobiety. Tego nie wolno — kobieta jest też człowiekiem, i ma równe prawa z mężczyzną.

Właściwe i podstawowe wychowanie dać winni rodzice ale nieraz się zdarza, że nie doceniają ważności tego zadania. Byłem naocznym świadkiem jak na imieninach u sąsiada zjawił się syn i wnuczek 12-letni mieszkający w Katowicach. Przy powitaniu tylko syn ucałował zacne i spracowane ręce ojca i matki oraz obecnych kobiet. Wnuczek przywitał się ze wszystkimi przez podanie ręki. Bo tak powiada na Śląsku się witają!

Wstrzymuję się w tym miejscu od komentarzy, zwłaszcza że przed kilku dniami czytałem notatkę na podobny temat. Mianowicie Minist. Przemysłu w wewnętrznym okólniku wypowiedziało walkę całowaniu rąk kobiecych. Jeżeli w czasie urzędowania —zgoda, ale poza urzędem niechże obywatelom będzie wolno całować kobiety nie tylko w rękę.

A już starym spracowanym rękom ojców i matek oddanie czci przez ich ucałowanie, niech będzie nadal symbolem synowskiego szacunku i przywiązania.

Jan Kurek.

PLAGI EGIPSKIE

Pierwsza plaga: żebractwo.

Przed niedawnym czasem polskie władze porządkowe zapowiedziały zdecydowaną walkę z żebractwem, które stanowi jedno z większych utrapień powojennych. Jeśli za tymi zamiarami pójdą konkretne czyny, to będzie to wyraźnym dążeniem do oczyszczania naszego życia społecznego.

Musimy bowiem tu na tym miejscu stwierdzić, że istotnie żebractwo po zakończeniu wojny rozrosło się do niebywałych granic i jest nie tyle skutkiem zubożenia społeczeństwa, ile skutkiem poczucia atmosfery bezkarności, w której różne bezczelne typy żebraninę uznały za pewien system łatwiejszego zdobywania środków utrzymania.

Naszym zdaniem rękę po jałmużnę wyciągają nie tyle jednostki stojące nad brzegiem przepaści, ile wyzute ze wstydu typy łazików, które atmosferę wojny, atmosferę upadku i zbrodni, litości i egoizmu uznały za swój okres czasu najodpowiedniejszy do pływania.

Nic nie było wolne od tej prawdziwie egipskiej plagi: ani dom, ani ulica, ani sklep, a już najokropniejsze były dworce kolejowe i pociągi. Te szczególnie. Kto musiał częściej jeździć, częściej bywać we wnętrzu wozu kolejowego, ten się już nauczył na pamięć wszystkich żebrzących twarzy i wynosiło się wrażenie, że ci proszący mają kolej polską w jakiejś arendzie nakładając stały, niezmienny i nieunikniony haracz na każdego, kogo wypędziła w drogę konieczność.

Potworna pod tym względem jest Warszawa. Tam się drzwi po jednym nie zamknęły, gdy drugi już czekał na swoją kolejkę i — to samo. Kobiety, mężczyźni, dzieci, kaleki potwornie okaleczone, sprzedające swoje znamiona choroby za przypuszczalny datek. Nie — było to już zbyt wiele. Było to męczące, żenujące, upokarzające, przykre.

Miało się wrażenie ,że jesteśmy nie w Europie, a na Wschodzie, gdzie podobno prośba o „bakszysz" nie schodzi z ust jego mieszkańców, którzy w ten sposób podpierają swój budżet domowy nomadów.

Jesteśmy najgorętszymi zwolennikami pomocy społecznej, ale... nie w takiej formie. Nie w formie żebractwa. Niech będzie opodatkowanie, niech powstaną po urzędach czy instytucjach placówki pomocy społecznej: szerokiej, istotnej, stałej i skutecznej, ale żebranina musi zniknąć z publicznych miejsc. Koniecznie i nieodwołalnie. Musimy być Europą.

Stąd oficjalne zapowiedzi o walce z żebractwem powitać należy z jaknajwyższym uznaniem. Społeczeństwo samo od siebie też musi w tym pomóc, ażeby cała akcja była udana w każdym miejscu.

Druga plaga: katastrofy.

Możnaby ten temat rozszerzyć i objąć nim również katastrofy na kolejach, ale tu nie o to chodzi: chodzi o katastrofy samochodowe, jakie wydarzają się na ulicach miast, na szosach i nawet na polnych drogach wiejskich. Tak jest.

Kiedy się przegląda kronikę milicyjną i wyławia ilość zderzeń, przejechań, masakr i innych katastrof wozów mechanicznych, mimo woli nasuwa się pytanie, czemu się to dzieje? Jakie przyczyny grają tu rolę, że ci sami kierowcy, którzy w czasie przedwojennym jeździli z taką niewiarygodną precyzją, dziś mają tyle przestępstw?

Na samym dnie leży wojenne obciążenie: lekceważenie życia ludzkiego wogóle nabyte w czasach masowego niszczenia istnień ludzkich. Bezpośrednimi powodami są:

1. słabe opanowanie sztuki jeżdżenia,
2. alkoholizm,
3. poczucie bezkarności,
4. wszystkie trzy poprzednie punkty razem wzięte.

Jak wogóle w wielu dziedzinach naszego życia, duże zapotrzebowanie na kierowców samochodowych spowodowało, iż zaczęto się posługiwać elementem niedość wykwalifikowanym, prawdziwym „erzatzem" szoferskim, który w momentach wymagających dużego panowania nad maszyną zawodzi i powoduje tragiczne następstwa.

Jednym z najboleśniejszych następstw tej wojny jest alkoholizm. Masowe fabrykowanie różnego rodzaju samogonów, wódek ,namiastek i „bimbrów", którym się ludzie oszałamiali, żeby łatwiej w stanie tym przeżyć i przenieść okropności tej wojny — zostało nam jako niebezpieczny balast gniotący nasze ciężkie i tak powojenne życie. Przy systemie pracy szofera dającej łatwy zarobek, zjawia się również łatwa pokusa do oszołomienia alkoholem. Świadomość, że w takim stanie narażone jest na śmierć dziesiątki powierzonej jego uwadze ludzi — nie istnieje.

Do tego, co wyżej powiedzieliśmy dochodziło zupełne poczucie bezkarności kierowcy. Mógł na ulicy przejechać dziecko czy kobietę, mógł na szosie przewalić wóz z ludźmi — płacił za to najwyżej parę złotych, jeśli nie uciekł. Ta psychoza lekceważenia wszystkiego, co było poza nim, dawała w skutkach owe okropności katastrof, w których tyle ludzi postradało już życie.

Obecnie stan ten chyba ulegnie radykalnej zmianie: władze porządkowe zapowiadają twarde represje na szoferów, którzy będą lekceważyli przepisy jazdy.

Kto dożyje — zobaczy. **(t. g.)**

ZNAKI CZASU

Wyniki kilkuletniej okupacji niemieckiej sięgają głęboko poza dające się ująć cyfrowo straty narodu polskiego. Są straty nie mniej bolesne od dziesiątków tysięcy pomordowanych ludzi, od setek wywiezionych urządzeń fabrycznych, wykradzionych muzeów i zniszczonych bibliotek — to straty wynikające z demoralizacji, jakiej w wyniku okupacji uległa spora część społeczeństwa.

Są fakty krzyczące. Jest jeszcze łapownictwo urzędników, powszechne opilstwo, szabrownictwo, defraudacje, kradzieże z włamaniami, przestępstwa młodocianych... Na poparcie tego możnaby przytoczyć niezliczoną ilość faktów zaczerpniętych z pism codziennych.

Oto w Łodzi ujęto zorganizowaną szajkę chłopców w wieku od 10 — 15 lat, którzy okradali sklepy, a za tak „zarobione" pieniądze pili wódkę w restauracjach (gdzie im tę wódkę podawano) i odwiedzali domy publiczne.

Szofer, który zabija na drodze człowieka i „dodaje gazu", aby uniknąć odpowiedzialności, to szofer przeciętny.

Człowiek, który pomyślnie załatwił jakąś sprawę większej wagi w urzędzie nie opłaciwszy się czy to kolacyjką, czy inną „uprzejmością", czy nawet gotówką — to rzadki okaz.

„Szabrownictwo" było terminem do niedawna znanym tylko między zawodowymi złodziejami. Rozpowszechnił się on po powstaniu warszawskim, a zyskał prawo obywatelstwa po wyzwoleniu. Mało tego — termin ten został przyjęty już w ustawodawstwie jako określenie „kradzieży mienia opuszczonego". Przeszedł do historii i będzie się wlókł za imieniem Polaka, jak niegdyś naukowa nazwa kołtuna — „plica Polonica".

Przestępstwo w jakiejkolwiek formie stało się tak nagminnym zjawiskiem, że nie wystarcza już oskarżać jednostkę o popełnienie przestępstwa — w wielu wypadkach żąda się z góry **wykazywania niewinności** bez żadnych konkretnych podejrzeń o przestępstwo.

Weźmy określony przypadek. Ktoś przeprowadza się z jednej miejscowości do drugiej i wiezie meble. Pierwszy napotkany patrol milicji zażąda zaświadczenia, że nie pochodzą one z „szabru". Właściciel oburza się za posądzenie, lecz milicjanci twardo żądają dowodu. Nikt im co prawda nie wskazał, że na tym właśnie wozie znajduje się „szaber", lecz wobec powszechności przewożenie nie swoich rzeczy, są już z góry nastawieni na możliwość przestępstwa i w tym wypadku.

Zdanie sobie sprawy z istotnego sensu takiej sytuacji, to zrozumienie ogromu powszechnej demoralizacji.

Nie wystarcza pobożne westchnienie: „czas już najwyższy, aby te konsekwencje wojny zniknęły z naszego życia". Tu trzeba otwartej walki nie tylko organów milicji, lecz również walki dziennikarzy i publicystów wraz z całym stojącym do ich dyspozycji aparatem propagandowym.

A wypowiedzi na ten temat jest mało. Oczywiście, że są to sprawy drażliwe i w wywlekaniu ich nie ma wyraźnej granicy między chęcią „kalania własnego gniazda" a chęcią naprawienia złego stanu rzeczy.

Straciły one już jednak charakter ukrytych bolączek, o których można było sądzić, że same przeminą.

„Przestępczość w jej najróżniejszych formach jest pierwszym wrogiem wewnętrznym odradzającej się Polski. A jedną z właściwości przestępstwa jest jego zaraźliwość. Epidemia ta nie wygaśnie sama. Nic już na tym nie straci dobre imię Polaka, gdy wszystkie organizacje społeczne, wszystkie dzienniki i pisma periodyczne rozpoczną wyraźną **kampanię walki o podniesienie etyki i moralności społeczeństwa.**

Będzie to tylko pranie brudów we własnym domu — lepsze, niż gdyby sąsiedzi mieli sobie ich stosy nadal z szyderstwem pokazywać.

zs

Książki nadesłane do Redakcji

WYDAWNICTWA „CZYTELNIKA"

Leon Kruczkowski — **Kordian i cham**, str. 288.

Arkady Fiedler — **Kanada pachnąca żywicą**, str. 246.

Arkady Fiedler — **Zwierzęta z lasu dziewiczego**, str. 146.

Arkady Gajdar — **Timur i jego drużyna**, str. 90.

Wanda Wasilewska — **Skrzydła u ramion**, str. 35.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Piętak Stanisław.

Komitet terenowy: Frasik Józef Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź ul. Żwirki 2. D—011454